

# HONORÉ DE BALZAC

OJCIEC GORIOT

Оноре де Бальзак

**Ojciec Goriot**

«Public Domain»

## **Бальзак О.**

Ojciec Goriot / О. Бальзак — «Public Domain»,

Paryż, rok 1819. Eugeniusz de Rastignac, Vautrin i Jan Joachim Goriot to mieszkańcy paryskiego pensjonatu znajdującego się przy ulicy Neuve-Sainte-Geneviève i główni bohaterowie tej powieści. Rastignac jest studentem prawa, który aspiruje do wejścia do klasy wyższej w czym pomaga mu kuzynka, wicehrabina Madame de Beauséant. Vautrin to tajemniczy propagandzista, a Goriot jest emerytowanym producentem makaronu, który bezgranicznie kocha swoje dwie córki i wspiera je całym swym majątkiem. Ojciec Goriot to powieść Honoriusza Balzaca z 1835 roku, wchodząca w skład Scen z życia prywatnego cyklu powieści Komedia ludzka. Autor zastosował w powieści technikę powtarzających się postaci — jedną z charakterystycznych cech swojej twórczości. Ojciec Goriot jest uznawany za jedno z najważniejszych dzieł francuskiego pisarza.

© Бальзак О.

© Public Domain

## Honoré de Balzac

### Ojciec Goriot

Pani Vauquer, z domu de Conflans, jest to kobieta w podeszłym wieku, posiadająca od lat czterdziestu mieszczańską gospodę, położoną przy ulicy Neuve-Sainte-Geneviève, między dzielnicą łacińską a przedmieściem Saint-Marceau. Gospoda ta, znana pod nazwą Domu Vauquer, daje schronienie tak mężczyznom jak i kobietom, tak młodzieży, jak starcom; pomimo to obmowa nie tknęła nigdy obyczajów tego szanownego zakładu. Trzeba wszakże i to dodać, że od trzydziestu lat nie widziano w nim prawie wcale młodych osób; zabłąkał się tam chyba taki nieborak, któremu rodzina przysyłała utrzymanie bardzo szczupłe. Jednakże w roku 1819, to jest w chwili rozpoczęcia się naszego dramatu, mieszkała tam jedna uboga dziewczyna.

Musimy posługiwać się tu wyrazem dramat, jakkolwiek w tych czasach oplakanej literatury stracił on wiele ze swej wziętości, z powodu że go nadużywano i naciągano wedle potrzeby; posługujemy się nim nie dlatego, by powieść ta miała być dramatyczną, w całym znaczeniu tego słowa, ale dlatego, że fakt spełniony wyciśnie może kilka łez *intra muros* i *extra*. Czy go ktokolwiek pojmie poza obrębem Paryża? pozwalamy sobie wątpić. Szczegóły tej sceny tak są pełne spostrzeżeń i barw miejscowych, że można je dobrze zrozumieć tylko pomiędzy wzgórzami Montmartre, a wyniosłością Montrouge, w tej sławnej dolinie wiecznie osypujących się tynków i rynsztoków czarnych od błota; w dolinie cierpień prawdziwych i radości często zwodniczych; w dolinie, gdzie się wszystko tak straszliwie kotłuje, że chyba nadzwyczajny wypadek może wyrzucić nieco silniejsze wrażenie. Wszakże i tutaj zdarzają się od czasu do czasu bóle wielkie i uroczyste, bo się na nie składa ogrom występku i cnoty; na ich widok egoizm nawet zatrzymuje się wzruszony; ale to chwilowe wrażenie przypomina smaczny owoc pochłonięty z chciwością. Rydwan cywilizacji, na kształt wozu bożyszczka Jaggernaty, opóźnia się wprawdzie, spotkawszy na swej drodze serce odporne, co się nie daje zgnieść tak łatwo jak inne; ale zmiażdżwszy je po chwili, posuwa się dalej w swym tryumfalnym pochodzie. Tak samo postąpicie wy, co wzięwszy w białe ręce książkę, pograżycie się w miękkim fotelu, mówiąc sobie: może też mnie zabawi. Przeczytawszy o tajemnych nieszczęściach ojca Goriot, zjecie obiad z apetytem, składając swą nieczułość na karb autora, zarzucając mu przesadę, obwiniając o zbytek poezji. Ach! wiercie mi, ten dramat nie jest ani wymysłem, ani romanssem. *All is true*, jest on tak prawdziwy, że każdy znajdzie w sobie, może nawet w swym sercu, te same czynniki, z których on się składa.

Dom, w którym się mieści gospoda mieszczańska, należy do pani Vauquer i znajduje się przy końcu ulicy Neuve-Sainte-Geneviève w tym miejscu właśnie, gdzie grunt zniżający się ku ulicy Arbalette tworzy tak raptowną pochyłość, że konie rzadko wjeżdżają na nią. Okoliczność ta przyczynia się do ciszy panującej wśród ulic ściśniętych pomiędzy murami Val-de-Grace i Panteonu. Oba te gmachy nadają odrębny charakter atmosferze, powlekając ją żółtawym kolorytem, na którym jakoś posepnie ich cień się zarysowuje. Bruk tam suchy, rynsztoki bez błota i wody, trawa porasta wzdłuż murów. Najswobodniejszy człowiek musi tam ulec smutkowi ogarniającemu wszystkich przechodniów; turkot powozu – to rzadki wypadek, domy ponure, ściany przypominają więzienie. Zbłąkany Paryżanin ujrzałby tam same gospody mieszczańskie lub zakłady; ujrzałby nędzę lub zniechęcenie, dogorywającą starość lub wesołą młodzież zmuszoną do pracy. Żadna z dzielnic Paryża nie jest okropniejsza, ani mniej znana. Mianowicie ulica Neuve-Sainte-Geneviève niby rama brązowa, jedynie stosowna do naszego opowiadania, przed zaczęciem którego trzeba, o ile możliwości, nastroić umysł do barw ciemnych, do myśli poważnych; tak wędrowiec zstępujący do katakumb, za każdym stopniem prowadzącym w głąb, coraz mniej widzi światła dziennego, coraz niewyraźniej słyszy śpiew przewodnika. Prawdziwe porównanie! Któż bowiem powie, co przedstawia straszliwszy obraz: czy serca wyschłe, czy czaszki próżne?

Front gospody zwrócony jest na ogródek; w skutek czego dom przytyka pod kątem prostym do ulicy Neuve-Sainte-Geneviève miejscu najbardziej zagłębionym, gdzie ją przerzyna inna ulica. Wzdłuż całego frontu, pomiędzy domem a ogrodem, znajduje się na sążeń szeroka przestrzeń wybrukowana okrągłymi kamieniami, a dalej aleja wysypana piaskiem i otoczona wazonami z białego i niebieskiego fajansu, w których rosną krzewy geranium, oleandry i granaty. Furtka, prowadząca w głąb tej alei, ma nad sobą deskę z napisem: **Dom Vauquer**, a poniżej: **Gospoda dla płci obojej i innych**. Przez kratę znajdującą się we drzwiach opatrzonych donośnym dzwonkiem, widać niszę wymalowaną na przeciwległym murze, wznoszącym się przy końcu wyżej wzmiankowanego bruku. Artysta tej dzielnicy nadał niszy kolor zielonego marmuru, udając zagłębienie, pod którym umieszczono statuę przedstawiającą Kupidyna. Patrząc na obłupany lakier, co go pokrywa, amatorowie symbolów ujrzeliby w nim może mit miłości paryskiej, która się leczy o kilka kroków dalej. Na podstawie napis w pół zatarty przypomina epokę, do której się ta ozdoba odnosi, świadcząc o zapale dla Woltera, który powrócił do Paryża roku 1777:

Ktokolwiek jesteś, oto obraz tego,  
Kto jest twym mistrzem, był nim, albo będzie.

Gdy noc nadchodzi, drzwi z kratą ustępują miejsca innym, całym drzwiom. Ogródek tak szeroki jak front domu, otoczony od strony ulicy murem, przytyka drugim bokiem do ściany sąsiedniego domu, na którym zwiesza się okrywająca go szczelnie zasłona bluszczu. Widok ten sprawia w Paryżu malownicze wrażenie i przyciąga oczy przechodniów. Mur okalający ogródek osłonięty jest szpalerem i winną latoroślą, której owoce nędzne i zapylone bywają przedmiotem corocznej troski pani Vauquer i rozmów jej z mieszkańcami domu. Po obu stronach, wzdłuż muru, ciągnie się wąska dróżka prowadząca pod cień lip, które pani Vauquer, chociaż z domu de Conflans, nazywa uporczywie *tieuilles*, pomimo gramatycznych uwag swych stołowników. Pomiedzy dwiema równoległymi alejami znajduje się przestrzeń kwadratowa zasadzona karczochami, otoczona drzewami owocowymi karłowatego gatunku i objęta wkoło szczawiem, sałatą i pietruszką. Pod lipami umieszczono okrągły stół zielony, otoczony ławeczkami. W dni świąteczne przychodzą tu bogatsi goście, którym środki pozwalają zapłacić za filiżankę kawy i popijają ją z wolna, przy upale dochodzącym do tak wysokiego stopnia, że kurczęta mogłyby się wykluć z jaj, gdyby je umieszczono w podobnej temperaturze.

Trzypiętrowa facjata domu, nad którą wznoszą się jeszcze poddasza, zbudowana jest z piaskowca i pomalowana na kolor żółty, który wszystkim prawie domom paryskim nadaje jakiś nieszlachetny charakter. Na każdym piętrze znajduje się po pięć okien o małych szybkach; żaluzje w oknach podniesione tak nierówno, że przecznice ich zdają się kłócić między sobą. Boczna ściana domu mieści dwa okna w rząd; na parterze mają one zamiast ozdób żelaznych sztaby wyrabiane w kratkę. Poza domem znajduje się podwórze, szerokie blisko na dwadzieścia stóp, gdzie trzoda chlewna żyje w najlepszej zgodzie z kurami i królikami; w głębi widać drwalnię. Między tą drwalnią a oknem kuchennym przytwierdzono szafę spiżarnianą, pod którą znajduje się ściek brudnej wody. Z podwórza na ulicę prowadzą wąskie drzwiczki, przez które kucharka wyrzuca wszystkie nieczystości, polewając następnie kałużę czystą wodą dla uniknięcia zarazy.

Parter, przeznaczony na mieszczańską gospodę, składa się z pokoju o szklanych drzwiach i dwóch oknach wychodzących na ulicę. Ten salon łączy się z jadalnym pokojem oddzielonym od kuchni sionką, w której znajdują się schody drewniane malowane i woskowane. Trudno znaleźć coś bardziej smutnego jak ten salon, którego całe umeblowanie stanowią fotele i krzesła, obite włosianą materią w pasy błyszczące i matowe. Pośrodku stoi stół okrągły z marmuru Sainte-Anne, na którym postawiono dla ozdoby bardzo dzisiaj rozpowszechniony serwis biały porcelanowy, o złotych paskach w połowie już pozacieranych. Podłoga w tym pokoju dosyć nędzna, ściany obwiedzione u dołu szeroką lamperią, wyżej zaś wyklejone lakierowanym papierem, przedstawiającym główne

sceny z Telemaka, w których klasyczne osoby dla odróżnienia odmalowano żywszymi barwami. Przestrzeń między dwoma oknami o żelaznych sztabach, przedstawia mieszkańcom gospody obraz uczty, którą Kalipso wydała na cześć syna Ulissesowego. Lat czterdzieści minęło od dnia, w którym powyższe malowidło ukazało się w salonie pani Vauquer, a jeszcze do tej pory nie przestaje ono pobudzać do żartów młodszych stołowników, którym się zdaje, że się wzniosą ponad swoje smutne położenie, drwiąc ze skromnego obiadu, na jaki nędza ich skazuje. Kominek ozdobiony pośrodku szkaradnym zegarem z sinawego marmuru, a po bokach dwoma wazonami sztucznych kwiatów, co dawne czasy zdają się pamiętać. Ognisko kominka, zawsze czysto umiecione, zdaje się mówić, że ogień bywa tu rzadkim gościem. Pierwszy ten pokój przejęty jest wonią, nie mającą w mowie ludzkiej odpowiedniego określenia; najwłaściwiej byłoby nazwać ją **wonią gospody**. Czuć w niej zaduch, stęchłą, pleśń; wieje z niej chłód, wilgoć utrudniająca oddech i przejmująca odzienie; unosi się zmieszany zapach różnych potraw, a wszystko razem przypomina izbę czeladną, kredens, szpital. Może by się to dało jaśniej wyrazić, gdyby był sposób zanalizować pierwiastki ulatniające się z atmosfery *sui generis*, otaczającej każdego mieszkańca tego domu. A jednak, pomimo tych wszystkich obrzydliwości, salon opisany, w porównaniu z sąsiednim pokojem, wydaje się woniejący i wykwinny jak buduar. Ściany drugiego pokoju, od góry do dołu wykładane drzewem, były niegdyś kolorowe, ale dziś widać tylko jakieś tło nieokreślone, na którym pokład brudu zarysował się w dziwaczne wzory. Do ścian poprzybijano półki pokryte jakąś lgnącą warstwą, a na nich stoją zapyłone i powyszczerbiane karafki, wraz z podstawkami metalowymi, wyrabianymi w deseń naśladowujący morę, obok zaś piętrzą się stopy talerzy porcelanowych z niebieską obwódka, z turnejskiej fabryki. W kącie stoi pudełko z numerowanymi przegródkami, służące za ogólny skład serwet poplamionych i zalanych winem. Spotkasz tutaj ten rodzaj sprzętów, co najlepiej opiera się niszczącej sile czasu i, zewsząd już wygnany, sprawia takie wrażenie, jak szczątki społeczeństwa w szpitalu chorób nieuleczonych. Zobaczysz tu barometr z kapucynem zapowiadającym deszcz, wstrętne malowidła odbierające apetyt, w ramach lakierowanych ze złotymi brzeżkami, zegar ścienny z szyldkretu wykładanego miedzią, zielony piec, kinkiety Arganda, w których oliwa zgęstniała od kurzu, długi stół pokryty ceratą, dosyć zatłuszczoną, by krotochwilny stołownik mógł wypisać na niej swe imię, posługując się palcem w braku rylca; dalej krzesła kulawe, nędzne słomianki, przenośne piecyki zużyte, popsute, z połamanymi zawiasami i przepalonym drzewem. Chcąc wyrazić jak dalece wszystkie te meble są stare, popękane, struchlałe, drżące, stoczone, połamane, wykrzywione, roztrzęsione, dogorywające, potrzeba by długiego opisu, przez co opóźniłby się wątek powieści, a tego nigdy by mi nie darowali niecierpliwi czytelnicy. Czerwona podłoga pełna jest zagłębień, powstałych w skutek niejednokrotnego malowania i szorowania. Jednym słowem, panuje tu nędza pozbawiona strony poetycznej, nędza ukrywana, oszczędzająca się, wyszarzana, nie zwalana wprawdzie błotem, ale już mocno poplamiona, nie mająca jeszcze dziur i łachmanów, ale za chwilę gotowa ulec zgniliznie.

Około siódmej z rana, do znajomego nam pokoju wbiega kot pani Vauquer, poprzedzając swą właścicielkę, wskakuje na półki i wacha garnuszki z mlekiem pokryte talerzami, pomrukując przy tym głośno. Po chwili zjawia się wdowa, przystrojona w tiulowy czepek, spod którego zwiesza się fałszywy warkocz źle przytwierdzony, i posuwa się, wlokąc za sobą powykrzywiane pantofle. Twarz jej stara, jakby obrzękła, z nosem zakrzywionym na kształt papuziego dzioba; ręce pulchne, cała osoba utuczona jak szczur kościelny, o nadzwyczaj pełnych kształtach; wszystko harmonizuje jak najlepiej z tym salonem, do którego wszystkimi szparami, zdaje się wciskać nieszczęście, gdzie z kątów wygląda zaczajona spekulacja, gdzie powietrze duszne i odrażające nie sprawia jednak wstrętu pani Vauquer. Oblicze jej, świeże jak pierwszy przymrozek jesienny, oczy otoczone siecią zmarszczek, których wyraz słodki jak uśmiech tancerki, może w jednej chwili zmienić się w pochmurne spojrzenie rachmistrza; cała wreszcie jej osoba wyjaśnia lepiej gospodę, która, ze swej strony, stanowi niby jednolitą całość z jej osobą. Gdzie jest więzienie, tam musi być i dozorca, jednego nie można sobie przedstawić bez drugiego. Chorobliwa otyłość tej małej kobiety jest

skutkiem życia, jakie prowadzi, tak jak tyfus jest wynikiem szpitalnych wyziewów. Spod starej, przerabianej sukni wymyka się podolek wełnianej spódnicy, świecący kłakami wypadającej waty. Ten widok przypomina nam salon, pokój jadalny i ogródek, przeczuwamy kuchnię, odgadujemy, jacy mogą być mieszkańcy domu. Widząc razem osobę i otoczenie, mamy dopiero obraz zupełny. Pani Vauquer ma lat około pięćdziesięciu i wygląda jak wszystkie kobiety, które **doznały nieszczęść** w swym życiu. Wzrok jej szklisty, a wyraz twarzy przypomina faktorkę, udającą gniew dla wyłudzenia większej zapłaty, a po chwili gotową na wszystko, by tylko polepszyć swój los, gotową wydać Grzegorza lub Pichegru, gdyby to było rzeczą jeszcze możliwą. To nie przeszkadza jej być **w gruncie dobrą kobietą**, przynajmniej takie jest zdanie jej lokatorów, którzy uważają ją za biedną istotę, stękającą i kaszlącą wraz z nimi. Kto był pan Vauquer? Wdowa nie lubi rozpowiadać o nieboszczyku. Jakim sposobem utracił mienie? W skutek nieszczęść, odpowiada kobieta. Wyznaje jednak, że się z nią niedobrze obchodził, a zostawił jej tylko dwoje oczu potrzebnych do płaczu, dom, w którym mieszka, i przekonanie, że żadne nieszczęście nie zasługuje na jej współczucie, bo sama przecierpiała wszystko, co tylko przecierpieć można. Słyszac panią drepczącą po pokoju, kucharka, znana pod nazwą grubej Sylwii, pośpiesza podać śniadanie dla stałych mieszkańców gospody. Wszyscy przychodzący stołownicy dostają tylko obiad, za co miesięcznie płacą trzydzieści franków.

W chwili, gdy się ta powieść zaczyna, stałych mieszkańców było tylko siedmiu. Na pierwszym piętrze były dwa najlepsze apartamenty; pani Vauquer zajmowała mniejszy, a drugi należał do pani Couture, wdowy po wojennym komisarzu rzeczypospolitej francuskiej. Pani Couture utrzymywała przy sobie młodą osobę, niejaką Wiktorynę Taillefer, której starała się zastąpić matkę. Dochód obu tych pań wynosił tysiąc osiemset franków. Na drugim piętrze, jedno mieszkanie zajmował człowiek w podeszłym wieku, nazwiskiem Poiret, drugie zaś pewien jegomość mogący mieć lat ze czterdzieści; nosił on ciemną perukę, czernił faworyty, uchodził za byłego kupca; znano go powszechnie pod imieniem Vautrina. Trzecie piętro składało się z czterech pokoi; jeden z nich wynajmowała stara panna, nazwiskiem Michonneau, drugi zajmował były fabrykant włoskiego makaronu, włoskich ciastek i krochmalu, nazywany pospolicie ojcem Goriot. Dwa pozostałe pokoje dawały schronienie różnym **przelotnym ptakom**, a najczęściej nieszczęśliwym studentom, którzy na stół i kwaterę mogli wydać najwięcej czterdzieści pięć franków miesięcznie, to jest właśnie tyle, ile płacili ojciec Goriot i panna Michonneau; ale pani Vauquer nie rada była takim mieszkańcom, przyjmowała ich tylko w takim razie, gdy się nic lepszego nie nastrecało: uważała, że studenci zjadają najwięcej chleba. Obecnie jeden z tych pokoi należał do młodego człowieka spod Angoulême, który przyjechał do Paryża studiować prawo. Liczne rodzeństwo studenta odmawiało sobie wielu wygód, byle zaoszczędzić sto dwadzieścia franków, które stanowiły jego całoroczne utrzymanie.

Eugeniusz de Rastignac, tak się bowiem ów student nazywał, był z rzędu tych młodych ludzi, których nieszczęście urabia do pracy, którzy pojmują od najmłodszych lat, jak wielkie nadzieje rodzice w nich pokładają, marzą o świetnej przyszłości i, rachując na potęgę nauki, starają się zastosować ją zawczasu do przyszłych potrzeb społeczeństwa, z którego zamierzają wyciągnąć dla siebie jak najwięcej korzyści. Gdyby nie jego ciekawe spostrzeżenia, gdyby nie ta zřeczność, z jaką potrafił zająć pewne stanowisko w salonach Paryża, powieść niniejsza byłaby pozbawiona tych barw prawdziwych, które zawdzięcza przenikliwości jego umysłu i usilności, z jaką badał tajniki tego straszliwego położenia, które najstaranniej osłaniali ci, co je wytworzyli i ci, co je znosili.

Ponad trzecim piętrem był strych do suszenia bielizny i dwa poddasza, gdzie sypiał posługacz zwany Krzysztofem i gruba Sylwia, kucharka. Oprócz siedmiu stałych mieszkańców, pani Vauquer miewała rok rocznie ośmiu studentów z wydziału prawnego lub medycznego i dwóch stołowników mieszkających w tej samej dzielnicy; ci wszyscy przychodzili tylko na obiad. Do obiadu siadało osiemnaście osób, a w razie potrzeby i dwadzieścia mogłoby się pomieścić w sali jadalnej; ale z rana tylko siedmiu stałych mieszkańców schodziło się na śniadanie i wtedy można by pomyśleć, że to kółko rodzinne zasiada przy stole. Wszyscy przychodzili w pantoflach i udzielali sobie wzajemnie

różnych spostrzeżeń poufnych: zastanawiano się nad ubraniem i wyrazem twarzy obiadowych gości, roztrząsano wypadki ubiegłego wieczoru, a każdy wyraz tchnął szczerością i zaufaniem. Wszyscy stali mieszkańcy byli pieszczochami pani Vauquer, która z dokładnością astronoma obdzielała ich staraniem i względami, stosownie do większej lub mniejszej zapłaty. W każdym razie otaczano wyjątkowym szacunkiem te siedem istot, które tutaj wypadek zgromadził. Obaj mieszkańcy drugiego piętra płacili tylko po siedemdziesiąt dwa franki na miesiąc. Taka taniość, która zresztą istnieje tylko na przedmieściu Saint-Marcel, między la Bourbe i la Salpetriere, dowodziła, że wszyscy ci ludzie, z wyjątkiem pani Couture, uginali się pod ciężarem nieszczęścia mniej lub więcej widocznego. Toteż odzienie ich wytarte i zniszczone przedstawiało widok nie mniej opłakany, jak wnętrze ich mieszkania. Surduty mężczyzn były koloru zagadkowego, obuwie takie, jakiego nie ścierpiano by w obrębie eleganckiej dzielnicy, bielizna zniszczona, reszta odzieży tylko że się trzymała. Kobiety nosiły suknie wypełzłe, farbowane i znów wypłowiałe; stare, cerowane koronki, rękawiczki wyglansowane od długiego użycia i chusteczki wyrudziały, aż do dziur przetarte. Takiego to rodzaju odzież okrywała postaci po większej części dobrze zbudowane, o silnym organizmie, co się oparł wszystkim burzom życia, o twarzach zimnych, twardych, zatartych jak dukaty wyszłe z obiegu. Spoza warg wywiedłych ukazywały się chciwe zęby. Widok tych ludzi kazał się domyślać dramatów spełnionych lub rozwijających się w chwili obecnej; nie tych dramatów, co to się odgrywają przy sztucznym oświetleniu, pomiędzy malowanymi kulisami, ale dramatów żywych i niemych, zastygłych, a tak silnie poruszających serce, dramatów nieprzerwanych, długotrwałych.

Stara panna Michonneau osłaniała swe oczy zmęczone daszkiem, który mógłby rozdrażnić samego anioła litości, składał się on z zatłuszczonego kawałka zielonej kitajki rozpiętej na drucie. Chustka otoczona nędzną, powyskubywaną frędzlą, okrywała kształty tak spiczaste, iż rzekłbyś, że pod nią kościotrup się ukrywa. Co pozbawiło tę istotę kształtów niewieścich? Musiała być kiedyś ładna i zgrabna; cóż ją doprowadziło do stanu obecnego: występek, zgryzota, czy chciwość? Czy kochała zbyt wiele, czy była ostatnią z kobiet, czy tylko kurtyzaną? Może starość odrażająca była karą za tryumfy młodości ambitnej spędzonej wśród uciech różnorodnych. Wzrok jej wygasły przejmował chłodem, w pomarszczonej twarzy czytałeś groźbę jakąś niepojętą. Gdy się odezwała, dźwięk jej głosu przywodził na myśl konika polnego, co za zbliżeniem się zimy odzywa się ciągle w głębi zarośli. Opowiadała o sobie, że dozorowała pewnego starca cierpiącego na katar pęcherza, którego dzieci opuściły, sądząc, że się po nim niczego spodziewać nie można.

Ten to starzec zapisał pannie Michonneau tysiąc franków dożywotniego dochodu, co dało powód do niejednokrotnych zatargów z sukcesorami, którzy nie przestawali prześladować jej potwarzą. Chociaż gra namiętności wyrzyła się na jej twarzy, można było jednak dopatrzeć jeszcze pewnych śladów płci białej i delikatnej, co pozwalało przypuszczać, że ciało jej zachowało dotąd pewne szczątki piękności.

Pan Poiret był rodzajem automatu. Trzeba było widzieć go w chwili, gdy na kształt cienia szarego przesuwał się po alei ogrodu botanicznego: zmięta czapka okrywała mu głowę, laska o żółtej gałce z kości słoniowej gotowa była lada chwila wypaść z ręki niedołącznej, wygniecione poły surduta rozwiewały się z wiatrem ukazując spodnie obwisłe, a nogi okryte sinymi pończochami plątały się jak u pijaka. Reszta stroju składała z białej zbrukanej kamizelki i z żabotu z grubego, powyciąganego muślinu, który nie przystawał dobrze do chustki okręconej wkoło indyczej szyi. Toteż niejeden przechodzień pytał siebie, czy ten cień chiński należy rzeczywiście do śmiałej rasy synów Jafeta, fruujących po bulwarze włoskim? Jakiego to rodzaju praca mogła go tak powyłamywać? Jaka namiętność nadała ciemnobrunatny kolor jego szyszkowatej twarzy, która na rysunku wydałaby się przesadną karykaturą. Czym był ten człowiek? Może urzędnikiem w ministerstwie sprawiedliwości, w biurze, do którego kaci przedstawiają rachunek za dostawę czarnych welonów dla ojcobójców, za otręby do napełniania koszów, za sznurki i noże. A może do niego należało oczyszczanie szlachtuza lub inna jakaś czynność nakazana przez komisję sanitarną. Jednym słowem, człowiek ten wyglądał na jedno z pracowitych bydląt naszego młyna społecznego, na jednego z tych paryskich Ratonów,

którzy nie znają nawet swych Bertrandów, wyglądał na jakąś sprężynę, która poruszała niedolę lub szumowiny społeczne; wreszcie był to jeden z tych ludzi, o których powiadamy: **A jednak i tacy są potrzebni**. Piękny Paryż nic nie wie o tych twarzach zbladłych wśród cierpień moralnych i fizycznych. Ale Paryż to istny ocean. Na próżno sondę zapuszczać będziecie, nigdy nie zbadacie jego głębokości. Możecie go zwiedzać i opisywać; ale na cóż się zdadzą wasze starania? Tylu jest badaczy sumiennych, co się tym morzem zajmują, a jednak pozostanie tam wiecznie jakaś ustroń nietknięta, jakaś nieznana pieczara, znajdują się zawsze kwiaty, perły, potwory, coś niesłychanego, o czym zapomnieli nurkowie-literaci. Dom Vauouer to właśnie jedna z takich ciekawych potworności.

Dwie twarze stanowiły tam uderzającą sprzeczność z ogółem mieszkańców i stołowników. Chociaż cera panny Wiktoryny Taillefer pociągnięta była bladością chorobliwą, jaka cechuje zwykle dziewczęta cierpiące na bladaczkę; chociaż właściwy jej wyraz smutku i przygnębienia zlewał się harmonijnie z cierpieniem ogólnym stanowiącym tło tego obrazu; choć wydawała się zawsze zbiedzona i niepewna siebie: z tym wszystkim jednak twarz jej była młoda, głos wdzięczny i poruszenia żywe. Ta niedola młoda przypominała krzew o żółkłych listkach, przesadzony na grunt niewłaściwy. Jej włosy jasne wpadające w odcień miedziany, twarz delikatna, figura nadzwyczaj szczupła, jednym słowem postać cała tchnęła tym wdziękiem, który nowożytni poeci upatrują w statuetkach średniowiecznych. Oczy szare z czarnym odcieniem wyrażały chrześcijańską łagodność i poddanie się. Ubranie skromne i niedrogie wdzięcznie się układało na młodej i kształtnej figurze. W szczęściu dziewczę to byłoby zachwycające: szczęście jest poezją kobiety, tak jak strój jest jej dekoracją. Niechby uciecha balu rozlała na tej bladej twarzy swoją barwę różaną, a wygody wykwintnego życia wypełniły i zarumieniły te policzki trochę już wpadłe; niechby miłość rozjaśniła smutne te oczy: a Wiktoryna mogłaby walczyć o lepsze z najpiękniejszymi pannami. Nie знаła tego, co daje kobiecie jakby drugie życie: brakło jej gałganków i liścików miłosnych. Historia jej życia mogłaby dostarczyć wątku do powieści. Ojciec Wiktoryny sądził się w prawie nie uznawać córki, nie chciał jej mieć przy sobie, przeznaczał jej tylko sześćset franków rocznie, wreszcie sprzedał swoje dobra, chcąc wszystko przekazać synowi. Matka Wiktoryny umarła z rozpacz u dalekiej swej krewnej pani Couture, która odtąd z macierzyńską troskliwością zaopiekowała się sierotą. Na nieszczęście wdowa po wojennym komisarzu wojsk Rzeczypospolitej nic w świecie nie posiadała prócz swej wdowiej pensji; mogła więc kiedyś zostawić na łaskę i niełaskę świata biedne dziewczę bez doświadczenia i środków do życia. Dobra kobieta chciała na wszelki wypadek zaszczerpić pobożność w sercu Wiktoryny; w tym celu co niedziela bywała z nią na mszy, a co dwa tygodnie wodziła ją do spowiedzi. I miała słuszność; tylko uczucia religijne mogły wesprzeć w przyszłości to dziecko odrzucone, które nie przestało kochać ojca i corocznie udawało się do niego, niosąc przebaczenie swej matki; ale szło tylko po to, by wyczekiwać nadaremnie u drzwi ojcowskiego domu, które przed nią nielitościwie zamykano. Brat, jedyny pośrednik, na którego mogła rachować, ani razu nie odwiedził jej przez cztery lata, nigdy nie pośpieszył jej z pomocą. Wiktoryna błagała Boga, by ojca jej wyprowadził z błędu i zmiękczył serce brata; modliła się za obydwoh, nie obwiniając ich wcale. Natomiast pani Couture i pani Vauquer wyczerpały cały słownik obelg, nie znajdując wyrazu, który by dobrze określał barbarzyńskie postępowanie tych ludzi. Podczas gdy obie przeklinały niecnego milionera, Wiktoryna odzywała się łagodnie i wyrazy jej przypominały głos zranionego gołębia, który nawet krzykiem bóleści wyraża miłość.

Eugeniusz de Rastignac przedstawiał typ południowy; miał płeć białą przy czarnych włosach i oczach niebieskich. Cała jego powierzchowność i wszystkie ruchy zdradzały potomka szlacheckiej rodziny, gdzie początkowe wychowanie bywa zwykle przesiąknięte tradycją wytwornego gustu. Oszczędny z potrzeby, musiał zadowalać się na co dzień przeszłorocznymi sukniami; jednak wychodząc na miasto mógł się niekiedy ubrać nie gorzej od wytwornych strojnisiów. W dni powszednie nosił surduta stary, kamizelkę zużytą, czarny krawat zmięty i niedbale, po studencku zawiązany, spodnie odpowiednie do całego stroju i buty podzielowane.

Czterdziestoletni Vautrin z poczernionymi faworytami stanowił niby przejście od tej młodej pary do reszty mieszkańców. Był to jeden z tych ludzi, o których lud prosty powiada: „To tęgi chłop!” Szeroki w ramionach, biust miał potężny, mięśnie wydatne i ogromne, czworogranne ręce porośnięte na palcach kępami gęstych, ognistorudych włosów. Twarz porwana przedczesnymi zmarszczkami, miała w sobie jakiś wyraz okrucieństwa i niehumanizacji, ale łatwość i zgodność w obcowaniu z ludźmi zadawały kłam temu wyrazowi. Głos basowy, harmonizujący z rubaszną wesołością sprawiał miłe wrażenie. Nadskakujący był, a jednak lubił kpić ze wszystkiego. Gdy w domu zepsuł się jakiś mebel, on go wnet rozebrał na części, naprowadził oliwą, naprawił i złożył, dodając zawsze: „Znamy się na tym”. Zresztą znał on wszystko: okręty, morze, Francję, zagranicę, interesy, ludzi, wypadki, prawa, hotele i więzienia. Gotów był pośpieszyć z pomocą każdemu, kto tylko bardzo się uskarżał. Kilka razy już pożyczał pieniędzy pani Vauquer i niektórym mieszkańcom gospody, ale kredytorowie woleliby umrzeć niż zapóźnić się z wypłatą, bo Vautrin, pomimo swej miny dobroduszej, umiał spojrzeć niekiedy wzrokiem tak stanowczym i głębokim, że aż mrowie przechodziło. Miał szczególny sposób spluwania, który zdradzał człowieka obdarzonego wielkim zasobem krwi zimnej i niezdolnego cofnąć się przed żadnym występkiem, gdyby takowy miał go wybawić z dwuznacznego położenia. Niby sędzia surowy, zdawał się badać każdą rzecz do głębi; każde sumienie, uczucie każde zdawał się wzrokiem przenikać. Według przyjętego raz na zawsze zwyczaju, wychodził po śniadaniu i wracał na obiad, po czym znikał na cały wieczór i dopiero koło północy dostawał się znów do mieszkania za pomocą wytrycha, który mu pani Vauquer powierzyła. On tylko jeden dostąpił takiej łaski. To też był w jak najlepszych stosunkach z wdową, którą nazywał **maman** i obejmował czule za kibić (zapomniana to pieszczota!). Pocziwa niewiasta nie widziała w tym nic nadzwyczajnego, gdy w rzeczy samej jeden chyba Vautrin miał ramiona dość długie, by uścisnąć tę ciężką bryłę. Było to cechą jego charakteru, że płacił wspaniale po piętnaście franków na miesiąc za **glorię** (t.j. kawę z wódką), którą pijał po obiedzie. Ludzie mniej lekkomyślni niż ta młodzież porwana wirem życia paryskiego lub ci starcy obojętni na wszystko, co nie dotyczyło ich bezpośrednio, potrafiliby wyjaśnić sobie wątpliwe wrażenie, jakie Vautrin sprawiał na otaczających. Człowiek ten znał i odgadywał zawsze sprawy innych, lecz nikt nie mógł zbadać nawzajem jego myśli i zajęć. Dobroduszość pozorna i ciągła uprzejmość służyły mu za przegrodę, którą się oddzielił od innych; pomimo to zdradzał niekiedy przerażającą głębię swego charakteru. Często wpadał w zapał godny Juwenala, natrząsał się z prawa i tak zawzięcie chwłostał wyższe towarzystwo, zarzucając mu sprzeczność z sobą samym, iż można było przypuścić, że bardzo był niezadowolony z ustroju społecznego i miał w swym życiu tajemnicę starannie ukrywaną.

Oczarowana, bezwiednie może, siłą czterdziestoletniego atlety i pięknnością młodego studenta, panna Taillefer dzieliła pomiędzy nich swe spojrzenia przelotne i myśli tajemne; lecz obaj zdawali się nie myśleć o niej wcale, choć z dnia na dzień ślepy traf mógł zmienić jej położenie i pomieścić ją w rzędzie bogatych pań. Zresztą żaden z mieszkańców gospody nie zadawał sobie trudu, by zbadać, czy nieszczęścia innych były rzeczywiste, czy zmyślane. Każdy spoglądał na otaczających obojętnie, prawie podejrzliwie, a wynikało to z położenia, jakie względem siebie zajmowali. Widzieli, że nic nie mogą poradzić na swą niedolę, a dzieląc się troską nieustanną, wyczerpali cały zasób współczucia. Podobni do pary starych małżonków, nie mieli już sobie nic do powiedzenia. Stosunki istniejące pomiędzy nimi były też czysto mechaniczne i przypominały ruch kół niesmarowanych. Wszyscy zdolni byli przejść obok ślepego nie spojrzawszy nań wcale lub wysłuchać obojętnie opowiadania o czymś nieszczęściu, wszyscy jednoznacznie patrzyli na śmierć, jako na rozwiązanie zadania nędzy, wobec której bladł obraz najstraszliwszego zgonu. Najszczęśliwszą z tych dusz stroskanych była pani Vauquer królująca wszechwładnie w tym domu-przytułku. Mały ogródek, który pod wpływem zimna, suszy i wilgoci stał się pustym i głuchym stepem, dla niej był zawsze rozkosznym gajem. Dla niej jednym ponętym był ów dom żółty i ponury, w którym powietrze, przejęte wonią zaśniedziałej miedzi, przypominało kantor weksli. Do niej należały wszystkie te celki ciemne. Ona żywiła wszystkich tych galerników skazanych na karę dożywotnią, ona posiadała nad nimi władzę

niezaprzeczoną. Czyż biedne te istoty znalazłyby w całym Paryżu, za taką cenę jak u niej, pożywienie zdrowe i dostatnie, mieszkanie, które nie odznaczało się co prawda wdziękiem i wygodą, lecz mogło być porządnym i ochędźnym, boć to przecie od samych mieszkańców zależało. Wiedziała też, że gdyby dopuściła się jakiej krzyczącej niesprawiedliwości względem jednego ze swych lokatorów, to ofiara zniosłaby ją bez szemrania.

Zgromadzenie podobne musiało przedstawiać i rzeczywiście przedstawiało na małą skalę wszystkie składowe części społeczeństwa. W gronie osiemnastu stołowników znalazło się to, co się znajduje i w szkole, i w świecie, znalazła się owa istota wzgardzona, ów kozioł ofiarny, służący wszystkim za cel do żartów. Na początku drugiego roku osobistość ta stała się dla Eugeniusza de Rastignac najwybitniejszą ze wszystkich, pomiędzy którymi skazany był przeżyć jeszcze dwa lata. Owym *Patirase*m był stary fabrykant makaronu, ojciec Goriot, na którego głowie malarz skupiłby światło całego obrazu. Jakim sposobem on, najdawniejszy mieszkaniec, zasłużył na tę pogardę graniczącą prawie z nienawiścią, na to prześladowanie miarkowane niekiedy litością, na to lekceważenie, z jakim spoglądano na jego nieszczęście? Czy wywołał je dziwactwem lub jaką śmiesznością, która zwykle surowiej od występku bywa sądzona?

Pytania te odnoszą się bezpośrednio do wielu objawów niesprawiedliwości społecznej. Może to leży w naturze ludzkiej, że najmniej litości mamy dla tych, którzy przez pokorę, słabość lub obojętność najwięcej znieść gotowi. Czyż nie lubimy wszyscy próbować sił naszych kosztem kogoś lub czegoś? Czyliż ulicznik, ta bezsilna istota, nie dzwoni u wszystkich drzwi w dzień mroźny, czy się nie wspina z wysiłkiem, by wypisać swe imię na świeżym, nietkniętym pomniku?

Ojciec Goriot, starzec prawie sześćdziesięciodziewięcioletni, przeprowadził się do pani Vauquer w 1813 roku, wycofawszy się poprzednio z interesów. Zajął zrazu mieszkanie należące obecnie do pani Couture i płacił tysiąc dwieście franków komornego, z miną człowieka, który mało dba o to, czy wyda pięć luidorów mniej lub więcej. Pani Vauquer odświeżyła wszystkie trzy pokoje (wzięła jednak z góry pieniądze, wystarczające aż nadto na pokrycie kosztów nędznego umeblowania), sprawiła firanki z żółtej bawełnianej tkaniny, fotele lakierowane wybite pluszem, kilka nędżnych malowideł i tapety, którymi pogardziłby każdy szynk miejski.

Ojciec Goriot, którego wówczas nazywano z szacunkiem panem Goriot, pozwalał się okpiwać z jakąś niedbałą wspaniałością, co sprawiło może, iż zaczęto go uważać za głupca nie znającego się na niczym. Goriot posiadał piękną garderobę, przybył bowiem ze wspaniałą wyprawą kupca, który porzucając interesy niczego sobie nie odmawia. Pani Vauquer podziwiała osiemnaście koszul z płótna holenderskiego, których cienkość tym bardziej wpadała w oko, że fabrykant makaronu wpinał do żabotu dwie duże szpilki brylantowe, połączone z sobą złotym łańcuszkiem. Nosił zwykle garnitur szafirowy koloru bławatka, ale co dzień brał świeżą kamizelkę z piki, pod którą wznosił się i opadał wydatny żołądek kształtu gruszkowatego, ozdobiony ciężkim łańcuchem z brelokami. Tabakierkę złotą zdobił medalion napełniony włosami, co naprowadzało na myśl, że właściciel musiał być szczęśliwym w miłości. Gospodyni nazywała go bałamutem, a on się uśmiechał wesołym uśmiechem mieszczanina, którego zręcznie po sercu pogłaskano. Wszystkie szafy (a nazywał je *ormoires* na wzór prostego ludu) zostały zapełnione rozlicznym sprzętem srebrnym. Iskrzyły się oczy wdowy, gdy z wielką usłużnością pomagała mu rozkładać na półkach łyżki wazowe i stołowe, nakrycie srebrne, nalewki do oliwy i sosów, kilka półmisek, złożony serwis do śniadania i wiele innych przedmiotów, z którymi Goriot nie chciał się rozstać, a wszystko to było mniej lub więcej piękne, każda sztuka ważyła pewną liczbę grzywien. Były to podarunki, które mu przypominały różne uroczyste chwile życia domowego. „Patrz pani – mówił chowając półmisek i filiżankę z pokrywką, na której znajdowała się para gołąbków złączonych z sobą dzióbkami – oto jest pierwszy podarunek, którym dostał od żony w rocznicę naszego ślubu. Poczciwe biedactwo! Poświęciła na to wszystkie pieniądze zaoszczędzone z czasów panieńskich. Wiesz pani co? Wolałbym kopać ziemię paznokciami, niżeli z tym oto się rozstać. Z łaski Boga mogę do końca życia pić co rano kawę z tej filiżanki. Nie jestem biedakiem godnym litości, jeszcze mi na długo chleba wystarczy.” Oprócz tego bystre oko pani Vauquer

dostrzegło w głównej księdze handlowej kilka cyfr, które dodane razem mogły dać nieocenionemu Goriotowi od ośmiu do dziesięciu tysięcy franków dochodu.

Od owego dnia pewien plan zrodził się w głowie pani Vauquer, z domu de Conflans, która miała wówczas lat czterdzieści osiem, a przyznawała się tylko do trzydziestu dziewięciu. Znajdowała, że Goriot odznaczał się powierzchownością przyjemną i przyzwoitą, chociaż, co prawda, gruczołki łzowe jego oczu były nabrzękle i wydatne, wskutek czego musiał dość często ocierać sączącą się łzę. Zresztą łydki mięsiste i wydatne wraz z długim, prawie kwadratowym nosem i okrągłą, naiwnie głupowatą twarzą poczciwca, znamionowały przymioty moralne, które jak się zdaje, wdowa ceniła wysoko. Wyglądał na bydlę dobrze zbudowane, u którego uczuciowość przeważa nad rozsądkiem. Fryzjer Szkoły Politechnicznej przychodził co rano pudrować mu włosy, które zaczesane w *ailles de pigeon*, przyozdabiały jego oblicze, tworząc pięć pukli nad niskim czołem. Zakrawał trochę na nieokrzesanego prostaka, ale ubierał się nadzwyczaj starannie i niezmiernie obficie zażywał tabakę, wciągając ją do nosa z miną człowieka pewnego, że w tabakierce jego nigdy nie zabraknie makuby. Pani Vauquer zważyła to wszystko wnet po przeprowadzeniu się Goriota do jej domu, a wieczorem płonąła już żądzą zrzucenia całunu Vauquera i zmartwychwstania jako pani Goriot. Marzyła, jak to cudownie byłoby wyjść za mąż, sprzedać gospodę, podać rękę temu kwiatowi mieszczaństwa, stać się damą znaną w dzielnicy, zbierać ofiary dla biednych, urządzać niedzielne wycieczki do Choisy, Soissy, Gentilly; bywać kiedy się zechce w teatrze, w loży, nie czekając gratisowych biletów, które stołownicy przynosili jej niekiedy w miesiącu czerwcu; widziała w marzeniu całe Eldorado życia paryskiego. Nie wyznała dotąd nikomu, że składając grosz do grosza, zebrała czterdzieści tysięcy franków. Otóż, ze stanowiska majątkowego uważała siebie za partię stosowną. „Pod każdym innym względem nie jestem przecie mniej warta od niego,” powtarzała przewracając się w łóżku, jak gdyby pragnęła zapewnić się, że nie zbywało jej na wdziękach, których odcisk głęboki gruba Sylwia znajdowała co dzień w pościeli. Począwszy od tego dnia, wdowa korzystała prawie przez trzy miesiące z fryzjera pana Goriot i porobiła niektóre sprawunki z zakresu toalety, tłumacząc się potrzebą utrzymania domu na pewnej stopie, harmonizującej z szanownymi osobami, które w nim bywały. Zaczęła się bardzo starać o to, żeby zmienić cały personal mieszkańców, powtarzając, że odtąd będzie przyjmowała tylko ludzi wyborowych pod każdym względem. Każdy nowy przybysz musiał się dowiedzieć, że pan Goriot, jeden z najszanowniejszych i najznacześniejszych kupców paryskich, oddał jej domowi pierwszeństwo przed wszystkimi innymi. Zaczęła rozdawać ogłoszenia opiewające zalety domu Vauquer. Była to, według słów prospektu: „jedna z najdawniejszych i najszanowniejszych gospód dzielnicy łacińskiej, odznaczająca się przyjemnym widokiem na dolinę, wśród której wznosi się fabryka gobelinów (można ją było dostrzec z trzeciego piętra), przytykająca do **pięknego** ogrodu, wzdłuż którego **ciągnie** się ulica Lipowa”. Dalej wspomniano coś o świeżym powietrzu i położeniu ustronnym. Ogłoszenie to zwabiło hrabinę de l'Ambermesnil, trzydziestosześcioletnią kobietę, która żyła nadzieją likwidacji i emerytury, należnej jej jako wdowie po generale poległym na **polach** bitwy. Pani Vauquer zaprowadziła u siebie stół wykwintny, kazała opalać salony blisko przez sześć miesięcy i tak sumiennie wypełniała obietnice prospektu, że musiała **swego dołożyć**. Ale za to hrabina nazywała panią Vauquer *chère amie* i obiecywała zwabić do niej baronową de Vaumerland i wdowę po pułkowniku hrabi Picquoiseau, które musiały jeszcze domieszkać do końca kontraktu w hotelu droższym niż dom Vauquer. Zresztą interesy finansowe tych pań powrócą do stanu kwitnącego, skoro tylko biura wojenne ukończą swą czynność. „Ale – dodawała hrabina – biura wojenne nigdy nic nie kończą.” Po obiedzie obie wdowy udawały się do pokoju pani Vauquer, gdzie zajmowały się gawędką popijając przy tym nalewkę porzeczkową i zajadając przysmaczki przeznaczone dla podniebienia samej gospodyni. Pani d'Ambermesnil pochwałała bardzo plan wdowy względem Goriota; odgadła była jej myśl od razu i utrzymywała, że Goriotowi nic zarzucić nie podobna.

– Ach, pani moja droga! – mówiła wdowa – ten człowiek zdrow jak ryba; zakonserwowany jest wybornie i może jeszcze bardzo uprzyjemnić życie kobiecie.

Hrabina udzieliła wspaniałomyślnie niektórych uwag dotyczących stroju pani Vauquer, który nie był wcale odpowiedni do jej pretensji. „Trzeba się trzymać na stopie wojennej”, mówiła. Po długich naradach obie wdowy udały się do Palais-Royal i kupiły w Galeries de Bois kapelusz z piórami i czepczek. Hrabina pociągnęła przyjaciółkę do magazynu Małej Żanety, gdzie wybrano suknię i przepaskę. Dzięki wszystkim tym sprawunkom, wdowa stanęła pod bronią i przypominała żywo szyl *du Boeuf à la mode*. Znalazła siebie tak zmienioną na korzyść, że uczuła żywą wdzięczność dla hrabiny i ofiarowała jej dwudziestofrankowy kapelusz, chociaż była to osoba **nie przynosząca wielkiego zysku**. Miała wprawdzie zamiar prosić przyjaciółkę, by wybadła Goriota i zwróciła jego uwagę na wszystkie przymioty wdowy Vauquer. Pani de l'Ambermesnil podjęła się tej sprawy skwapliwie i trzymała starego fabrykanta w obłężeniu tak długo, aż jej udzielił posłuchania. Miała ona niekłamana chętkę zbałamucić go na swój własny rachunek; ale stary okazał się tak nieśmiały a pomimo to oporny, że wszystkie usiłowania spełzły na niczym i hrabina wyszła obrażona jego gburowatością.

– Mój aniele – powiedziała do swej najdroższej przyjaciółki – nie dasz rady z tym człowiekiem! Niedowierzający jest aż do śmieszności, przy tym taki to dusigrosz, takie głupie bydlę, że na nieprzyjemności tylko mógłby cię narazić.

Między panem Goriot i panią de l'Ambermesnil rzeczy tak stanęły, że hrabina nawet widzieć go już nie chciała. Nazajutrz opuściła dom wdowy, zapominając zapłacić komornego za sześć miesięcy; pozostawiła trochę starych rzeczy wartych może pięć franków. Pani Vauquer poszukiwała zapalczywie zbiegłej przyjaciółki, ale w całym Paryżu nie umiano jej nic powiedzieć o hrabinie de l'Ambermesnil. Odtąd powracała często do tej sprawy opłakanej, utyskując na swą łatwowierność, choć w rzeczy samej żadna kotka nie mogła być bardziej nieufna od niej; ale podobna była do tej licznej klasy ludzi, co to bliskim nie dowierzają, a obcym ufają bez granic. Jest to fakt moralny, dziwaczny, lecz prawdziwy, którego zarodek łatwo znaleźć w sercu ludzkim. Są ludzie, co nie spodziewają się już nie pozyskać u osób, z którymi żyją; może czują, że zdradziwszy przed otaczającymi próżnię swej duszy, zasłużyli na ich sąd surowy; ale nie umieją się obejść bez pochlebstwa, trawi ich żądza błyszczenia pozorem cnót, których nie posiadają, i pragną zdobyć szacunek lub serce obcych ludzi, choćby wkrótce mieli utracić oboje. Wreszcie bywają ludzie z natury już sprzedajni; ci nie zrobią nic dobrego przyjaciółom lub bliskim, dlatego tylko, że to jest ich obowiązkiem; ale obcym gotowi ofiarować usługi, bo to pochlebia ich miłości własnej; im ciaśniejsze jest koło, w którym się ich uczucie obraca, tym mniej zdolni są kochać; im więcej się ono rozszerza, tym czulszymi się stają. Pani Vauquer łączyła w sobie obydwie te natury małoduszne, fałszywe i nędzne.

– Gdybym ja był tutaj – mówił jej Vautrin – nie spotkałoby pani podobne nieszczęście. Potrafiłbym zedrzeć maskę z tej komediantki. O, bo ja się znam na takich sztuczkach.

Obyczajem wszystkich ludzi ciasnej głowy, pani Vauquer nie wykraczała nigdy poza sferę faktów i nie zagłębiała się w badanie przyczyn. Chętnie zwalała na innych własne swe błędy. Toteż poniosłszy ową stratę patrzyła na uczciwego fabrykanta makaronu, jako na źródło swych nieszczęść i od owego dnia, jak mówiła, zaczęła się rozczarowywać. Teraz odgadła, dlaczego na nic się nie zdały wszystkie zaczepki z jej strony, również jak i kosztowna wystawność, jaką się otaczała. Teraz dopiero spostrzegła, że lokator jej miał, jak mówiła, swoje narowy. Musiała wreszcie zgodzić się na to, że nadzieja jej tak czule wykołysana spoczywała na podstawie chimerycznej; musiała przyznać słuszność hrabinie, która dała dowód wielkiej przenikliwości, przepowiadając stanowczo, że wdowa nie da sobie rady z tym człowiekiem. Rzecz naturalna, że niechęć, z jaką obecnie spoglądała na niego, przewyższała o wiele przyjaźń dawniejszą; nienawiść przerosła miłość i przybrała rozmiary zawiedzionych nadziei. Serce ludzkie spoczywa niekiedy wspinając się na szczyt przywiązania, lecz prawie nigdy się nie wstrzymuje na stromej pochyłości uczuć nienawistnych. Ale pan Goriot był jednym z mieszkańców domu i wdowa musiała powstrzymywać wybuchy obrażonej miłości własnej, musiała tłumić westchnienia wyrrywające się na myśl o zawodzie i przemagać pragnienie zemsty,

jak mnich, którego rozdrażnił przełożony. Ludziom płytkiego umysłu nędzne środki wystarczają do zadowolenia i złych, i dobrych skłonności. Wdowa wyczerpała całą złośliwość kobiecą, gotując swej ofierze szereg prześladowań tajemnych. Zaczęła od tego, że odrzuciła wszelkie dodatkowe ulepszenia zaprowadzone ostatnimi czasy w gospodzie. „Nie potrzeba nadal ani korniszonów, ani sardeli: po co te głupstwa?” powiedziała pewnego dnia do grubej Sylwii i od tej chwili wróciła do dawnego programu. Pan Goriot należał do rzędu tych ludzi wstrzemięźliwych, co to dobijając się majątku przywykają tak dalece do oszczędności, że ta staje się w końcu ich drugą naturą.

Obiad składający się z zupy, sztuki mięsa i jarzyn wystarczał mu aż nadto. Trudno było pani Vauquer udreńczyć swego stołownika, bo w niczym nie mogła sprzeciwić się jego upodobaniom. Wpadała w rozpacz, nie mogąc znaleźć słabej strony w tym człowieku; zaczęła go lekceważyć i tak wpłynęła na innych mieszkańców swego domu, że wszyscy z wolna przejęli się jej niechęcią dla Goriota i przez lekkomyślność stali się narzędziem jej zemsty. Ku końcowi pierwszego roku, nieufność wdowy rozrosła do tego stopnia, że zaczęła się zastanawiać, dlaczego ten kupiec posiadający siedem lub osiem tysięcy liwrow dochodu, pyszne srebro i brylanty, których mogłaby mu pozazdrościć niejedna kobieta lekkich obyczajów, mieszka u niej, płacąc komorne tak małe w stosunku do znacznej fortuny. W tym pierwszym roku Goriot jadał obiad na mieście raz, lub dwa razy na tydzień; później nieznacznie doszło do tego, że tylko dwa razy na miesiąc jadał poza domem. Pani Vauquer bardzo rada była wyprawom jegomości Goriota, toteż gniewało ją okrutnie, że stołownik coraz punktualniej zaczął się zjawiać u jej stołu. Przypisywano tę zmianę zarówno powolnemu zmniejszaniu się majątku, jak i chęci sprzeciwienia się gospodyni. Nieznośna to właściwość umysłów poziomych, że wszystkich mierzyć chcą swoją miarą. Ku końcowi drugiego roku, Goriot usprawiedliwił, niestety, plotki krążące o nim, gdyż zaprzagnął przeprowadzić się na drugie piętro i zmniejszyć komorne do dziewięciuset franków. Musiał się tak dalece ograniczyć, że przez całą zimę nie opalał swego mieszkania. Wdowa Vauquer zażądała pieniędzy z góry i zaczęła odtąd nazywać swego lokatora ojcem Goriot. Niezmiernie trudno było zbadać przyczynę takiego upadku, bo już i pseudohrabina powiedziała, że Goriot był ponury i milczący. Ludzie o pustych głowach, zajęci zwykle rzeczami małej wagi, nie lubią trzymać języka na wodzy; toteż według ich rozumowania, każdy kto nie rozpowiada o swoich czynach, musi zajmować się złymi sprawami. I oto kupiec ów poważny został naraz okrzyczany za oszusta, ów bałamut wydał się teraz starym nicponiem. Według zdania Vautrina, który w tym czasie zamieszkał u wdowy Vauquer, ojciec Goriot grał na giełdzie i należał do ludzi, którzy straciwszy całe mienie, próbują szczęścia na małą skalę. Innym razem umieszczano go w rzędzie tuzinkowych szulerów, którzy ryzykują i wygrywają co wieczór dziesięć franków. Czasami znów robiono z niego szpiega policyjnego, choć Vautrin twierdził, że stary za mało miał sprytu do tego rzemiosła. Utrzymywano jeszcze, że Goriot był sknerą żyjącym z lichwy, że kupował ogromną masę biletów loteryjnych; słowem robiono z niego istotę tajemniczą, obarconą wszystkim, co tylko może się wyrodzić z występku, bezsilności i sromoty. Oburzano się na jego życie nikczemne, na jego występki, jednak pomimo całego wstępu nie wygnano go z domu, a nie wygnano dlatego, że regularnie płacił komorne. Przy tym był nawet potrzebny i wszyscy spędzali na nim zły lub dobry humor, obsypując go żartami i przycinkami. Przystawano ogólnie na sąd pani Vauquer, który wydawał się najtrafniejszy. Wdowa utrzymywała, że człowiek ten doskonale zakonserwowany, zdrow jak ryba i bardzo jeszcze przyjemny, prowadził życie rozwiązłe i dziwne miał upodobania. Oto fakty, którymi wdowa popierała swą potwarz. W kilka miesięcy po odejździe niefortunnej hrabiny, która pół roku przeżyła kosztem pani Vauquer, ta ostatnia, leżąc pewnego poranku w łóżku, posłyszała na schodach szelest sukni jedwabnej i chód leciuchny młodej kobiety przemykającej się do Goriota, którego drzwi w samą porę się otworzyły. Gruba Sylwia nie omieszkała też donieść swej pani, że jakaś panna, zbyt piękna, żeby miała być uczciwa, wśliznęła się jak węgorz do kuchni i zapytała o mieszkanie Goriota; **ubrana była jak bóstwo**, a buciki prunelowe świadczyły, że nie przyszła po błocie. Pani Vauquer i kucharka stanęły na czatach i dosłyszały kilka słów zamienionych czule podczas dość

długich odwiedzin. Pan Goriot odprowadzał **swą damę**. Gruba Sylwia zaczęła się niby wybierać na rynek, a w rzeczy samej wyszła z koszykiem po to tylko, by śledzić czułą parę.

– Pani! – rzekła powróciwszy z wyprawy – pan Goriot musi być jednak diabło bogaty, skoro może utrzymać je na takiej stopie. Niech pani sobie wyobrazi, że na rogu ulicy de l'Estrapade czekał powóz wspaniały, do którego **ona** wsiadła.

Podczas obiadu pani Vauquer zaciągnęła firankę, żeby zasłonić Goriota przed blaskiem słońca, który raził mu oczy.

– Masz pan łaskę u pięknych dam, panie Goriot, toteż i słońce pana szuka – rzekła pani Vauquer, chcąc go widocznie ukłuć przypomnieniem odwiedzin porannych. Tam do licha! masz pan dobry gust, bo to wcale ładna osóbką.

– To moja córka – odrzekł Goriot z pewną dumą, którą mieszkańcy gospody wzięli za hipokryzję starca dobijającego się o pozory.

W miesiąc po tych odwiedzinach nastąpiły drugie. Ta sama córka, która pierwszym razem przyjeżdżała w stroju porannym, przybyła teraz po obiedzie w wykwintnej toalecie. Stołownicy zebrani w salonie na gawędkę poobiednią, ujrzeli piękną wysmukłą blondynkę, pełną wdzięku i zbyt dystygowaną, ażeby mogła być córką takiego ojca Goriot.

– Oto mamy już drugą! – zawołała gruba Sylwia, nie poznając tej samej osoby.

W kilka dni potem, wysoka i kształtna brunetka, o włosach czarnych i oczach żywych, spytała o pana Goriot.

– Oto jest i trzecia! – rzekła Sylwia.

Brunetka, która pierwszym razem odwiedzała ojca przed południem, przyjechała po jakimś czasie w stroju balowym.

– Oto i czwarta! – rzekły razem pani Vauquer i gruba Sylwia, nie znajdując ani śladu podobieństwa między tą wielką panią, a skromnie ubranym dziewczęciem, które onegdaj odwiedzało starego.

Goriot płacił jeszcze tysiąc dwieście franków komornego. Pani Vauquer nie widziała w tym nic nadzwyczajnego, że człowiek majątny ma cztery lub pięć kochanek; przyznawała nawet, że dał dowód wielkiego taktu nazywając je swymi córkami. Nie obrażała się bynajmniej, że sprowadzał te osoby do jej domu; odwiedziny podobne drażniły ją tylko dlatego, że przekonywały o obojętności Goriota względem niej samej, toteż na początku drugiego roku pozwoliła już sobie nazywać go **starym mrukiem**. Goriot zeszedł wreszcie na dziewięćset franków; wtedy wdowa czekała tylko pierwszych odwiedzin, a spostrzegłszy jedną z tych pań na schodach, zapytała bez ceremonii starego, co też myśli zrobić z jej domu. Goriot odrzekł, że ta pani to jego starsza córka.

– Ileż pan masz tych córek? chyba trzydzieści sześć – rzekła pani Vauquer cierpkim tonem.

– Tylko dwie – odrzekł stary z łagodnością człowieka, którego nędza uczy znosić wszystko cierpliwie.

Ku końcowi trzeciego roku, ojciec Goriot ograniczył jeszcze swoje wydatki, przeprowadzając się na trzecie piętro i zmniejszając komorne do czterdziestu pięciu franków na miesiąc. Zaczął się obchodzić bez tabaki, odprawił fryzjera i odtąd się nie pudrował. Gdy ukazał się pierwszy raz bez pudru, gospodyni wydała okrzyk podziwu na widok jego włosów; były one brudnego szarozielonkawego koloru. Twarz, którą zgryzoty tajemne powlekały coraz to głębszym smutkiem, wydała się teraz dziwnie strapiona obok twarzy wszystkich tych, co się zgromadzili dokoła stołu. O, wówczas nikt już nie wątpił. Ojciec Goriot był starym rozpustnikiem, którego oczy tylko zręczność lekarza uchroniła od szkodliwego wpływu lekarstw, jakie musiano mu przepisywać. Wstrętny kolor włosów świadczył o nadużyciach i mnóstwie przyjętych leków.

Fizyczny i moralny stan nieboraka usprawiedliwiał poniekąd te brednie. Na miejscu pięknej bielizny ukazała się wkrótce inna z perkalu grubego, co się płaci po czternaście soldów za łokieć. Z czasem poznikały brylanty, tabakierka złota, łańcuch i wszystkie drogie kamienie. Stary porzucił dawny strój bogaty, wyrzekł się surduta koloru bławatkowego, a wdział natomiast inny

z prostego sukna brązowego, do tego nosił zimą i latem tę samą kamizelkę z koziej wełny i szare spodnie z grubego sukna angielskiego. Zeszczupłał niezmiernie, nogi mu ścieniały, twarz, jaśniejąca niegdyś pełnią szczęścia mieszczańskiego, osunęła się i pomarszczyła, czoło się sfałdowało, a szczęki zarysowały się wyraźnie. Zanim upłynął czwarty rok od przeprowadzki na ulicę Neuve-Sainte-Geneviève, poczciwy fabrykant makaronu niepodobny był do siebie. Ów mieszczanin sześćdziesięcioletni, pulchny i okrągły, o twarzy bezmyślnej i świeżej, który wyglądał najwięcej na lat czterdzieści i zachwycał przechodniów swą postawą pełną życia i uśmiechem młodzieńczym, dziś wydawał się siedemdziesięcioletnim starcem osłupiałym, drżącym i wybladłym. Żywe oczy niebieskie zblakły, przeszły w odcień prawie żółtoszary i zaschły, tylko spod czerwonej powieki krwawe łzy zdawały się sączyć. Na widok starca jednych przejmowała zgroza, inni odczuwali litość. Młodzi studenci medycyny nadaremnie drażnili go przez czas długi, wreszcie zauważywszy osunięcie się jego dolnej wargi i wymierzywszy kąt twarzy, zawyrokowali, że wpadł już w kretynizm. Pewnego wieczora, po skończonym obiedzie, pani Vauquer rzekła niby żartem:

– No cóż, zdaje się, że te córki już pana nie odwiedzają?

Chciała mu dać odczuć, że nie wierzy w rzeczywistość tych związków rodzinnych; ale ojciec Goriot drgnął na te słowa, jak gdyby ostrze żelaza go ukuło.

– Przychodzą niekiedy – rzekł głosem wzruszonym.

– Ach! ach! więc je pan widzisz jeszcze! – zawołali studenci medycyny. – Brawo, ojcie Goriot!

Ale stary nie słyszał już żartów wywołanych jego odpowiedzią, pograżył się bowiem w zamyślenie, które patrzącym z daleka wydawało się bezwładnym odrętwieniem starości. Gdyby go znali bliżej, byłiby się może głęboko zastanowili nad przyczyną wywołującą taki stan moralny i fizyczny, lecz trudne to było zadanie do rozwiązania. Można było wprawdzie przekonać się, czy Goriot był rzeczywiście fabrykantem makaronu i sprawdzić, czy kapitały jego wynosiły wiadomą cyfrę, lecz nad to nic nie wiedziano. Starzy ludzie, co go otaczali, zajmowali się żywo jego osobą, lecz żyli w swej gospodzie, jak ostrygi przyłączone do skały i nie wychylali się nigdy poza obręb dzielnicy, a młodzi lubili stroić żarty z biednego starca i pamiętali o nim, gdy byli na ulicy Neuve-Sainte-Geneviève, ale po chwili wpadali w wir życia paryskiego i stary przestawał zupełnie istnieć dla nich. Zresztą starzy mieli już umysł zbyt przytępiony, młodzi zaś byli zbyt lekkomyślni, żeby przypuścić, iż oswiały Goriot, cierpiący prozaiczną nędzę, mógł posiadać niegdyś majątek lub zdolności jakiegokolwiek.

Co się tyczy kobiet, które nazywał córkami, wszyscy zgadzali się z panią Vauquer; ta zaś obyczajem starych plotkarek przyzwyczajona była robić najśmielsze przypuszczenia i mówiła z logiką surową:

– Gdyby ojciec Goriot miał córki tak bogate jak wszystkie owe damy, które go odwiedzają, to z pewnością nie mieszkałyby u mnie na trzecim piętrze za czterdzieści pięć franków na miesiąc i nie ubierałyby się jak żebrak.

Nic nie mogło obalić tego dowodzenia. Toteż pod koniec listopada 1819 r., to jest w chwili rozpoczęcia się tego dramatu, wszyscy w gospodzie wiedzieli, co myśleć o biednym staruszku. Według ich przekonania, człowiek ten nie miał nigdy ani żony, ani córki; przez nadużycie przyjemności stał się mięczakiem, którego należało pomieścić w oddziale *Casquettiferów*, jak powiadał pewien urzędnik z Muzeum, który za biletami jadał obiady w gospodzie. Nawet taki Poiret to orzeł, to gentleman w porównaniu z Goriotem; Poiret rozprawiał, rozumował, odpowiadał, a choć rozprawiając, odpowiadając i rozumując nic właściwie nie mówił, bo miał zwyczaj powtarzać innymi słowami to, co drudzy powiedzieli; zawsze jednak podtrzymywał rozmowę, okazywał, że żyje i czuje, a ojciec Goriot, jak powiadał urzędnik z Muzeum, nie podnosił się nigdy ponad zero Reaumura.

Eugeniusz de Rastignac znajdował się w szczególnym usposobieniu umysłu. Usposobienie podobne cechuje młodzieńców wyższych zdolności lub takich, w których okoliczności zawiłe wyrabiają chwilowo przymioty ludzi wybranych. Uczęszczając rok pierwszy na uniwersytet miał tak

niewiele pracy, że mógł swobodnie nasycić się rozkoszami zmysłowymi Paryża. Student będzie miał aż nadto zajęcia, skoro zechce poznać repertuar wszystkich teatrów, studiować wszystkie wyjścia labiryntu paryskiego, badać zwyczaje, nauczyć się języka stolicy, przyzwyczaić się do przyjemności jej tylko właściwych, obejrzyć wszystkie jej złe i dobre strony, wreszcie zajrzeć do bogatych muzeów i uczęszczać na kursy, które zajmują z początku. W takiej epoce student unosi się nad każdym głupstwem, biorąc je za coś wspaniałego. Stwarza sobie wielkiego człowieka podnosząc na piedestał jednego z profesorów Kolegium francuskiego, któremu się płaci za to, by się utrzymywał na odpowiedniej wysokości. Poprawia krawat i przybiera poważną minę, żeby zwrócić uwagę kobiety, którą zobaczył w Operze komicznej. Odgadując wszystko, co dotychczas było dla niego tajemnicą, rozszerza horyzont swego życia i zaczyna wreszcie pojmować, w jakim porządku następują po sobie pokłady ludzkie, z których powstał gmach społeczny. Znalazłszy się na Polach Elizejskich, student zrazu podziwia tylko powozy krążące dokoła w blasku słonecznym, ale po pewnym czasie zaczyna już ich zazdrościć. Eugeniusz przeszedł bezwiednie całą tę szkołę, a jadąc do domu na wakacje jako bakałarz wydziału literackiego i prawnego, wolny już był zupełnie od złudzeń dzieciennych i pojęć prowincjonalnych. Teraz dopiero rozpatrzył się dobrze w domu rodzicielskim i w gronie rodzinnym, do którego przybył z pojęciem zmienionym i ambicją wybujałą. Na małym kawałku ziemi, należącym do Rastignaców, mieszkała cała rodzina składająca się z ojca, matki, dwóch braci, dwóch siostr i ciotki, która żyła ze swej pensji. Majętność ta przynosiła mniej więcej około trzech tysięcy, a choć dochód z winnicy był jak zwykle niepewny, wszelako trzeba było zaoszczędzić corocznie tysiąc dwieście franków na utrzymanie dla Eugeniusza. Teraz dopiero pojął w zupełności niedostatek, który dotychczas tak wspaniałomyślnie przed nim ukrywano. Gdy był dzieckiem, zdawało mu się, że siostry są bardzo piękne, a teraz inaczej mu się przedstawiły, gdy je porównał z kobietami paryskimi, które stały się dlań wcieleniem dawno wymarzonego ideału piękności. Dopiero teraz zastanowił się, że na nim się opierała przyszłość niepewna całej rodziny; przypatrzył się, z jak drobiazgową oszczędnością chowano wszystko, co miało wartość najmniejszą; spostrzegł, że jego rodzina zadowalała się napojem, który przyrządzano z wycisków winnych, zauważył wiele innych okoliczności, o których już tu nie wspominamy i goręcej niż przedtem zapragnął dobić się znacznego stanowiska i wywyższyć się ponad innych. Wzorem dusz wzniosłych postanowił zawdzięczać wszystko własnej zasłudze.

Lecz umysł jego był czysto południowy; gdy przyszło do wykonania postanowień, zaczynał się chwiać jak wszyscy młodzi ludzie, którzy wypływają na pełne morze, nie wiedząc, w którą stronę skierować swe siły i pod jakim kątem rozpiąć żagle. Na razie postanowił oddać się pracy namiętnie, lecz wkrótce spostrzegł, jak wielką rolę kobiety grają w życiu towarzyskim i zapragnął wyrobić sobie potrzebne stosunki. Postanowił nagle rzucić się w świat i bądź co bądź zdobyć sobie protektorki, które by go wzięły w opiekę; czyż miałby się na nich zawieść, on, co posiadał umysł żywy i zapał niekłamany, a przy tym odznaczał się ułożeniem pełnym wdzięku i nerwową pięknnością, która w oczach kobiet najwięcej ma uroku? Wszystkie te myśli zrodziły się w jego głowie, gdy błądził swobodny wśród pól razem z siostrami, które znalazły go wielce zmienionym. Ciotka Eugeniusza, pani de Marcillac, bywała niegdyś u dworu i znała sam kwiat arystokracji. Ambitny chłopak przypomniał sobie, że ciotka kołysała go nieraz opowiadaniem o czasach minionych i pomyślał, że dawne jej związki mogły mu ułatwić dokonanie kilku ważnych zwycięstw w świecie, na które rachował nie mniej jak na studia prawne. Pośpieszył więc wybadać ją, czy nie wiedziała o jakich związkach pokrewieństwa, które by się dały zadzierzgnąć na nowo. Poważna jejmość potrzebowała konary drzewa genealogicznego i zawyrokowała, że wicehrabina de Beauséant będzie najprzystępniejszą z całego grona bogatych krewnych, którzy bywają zwykle nieużytki. Napisała więc do tej młodej osoby list w stylu staroświeckim i wręczyła go Eugeniuszowi, dodając, że w razie powodzenia wicehrabina pomoże mu odnaleźć innych krewnych. W kilka dni po powrocie Rastignac posłał list swej ciotki do pani de Beauséant. Wicehrabina odpowiedziała mu zaproszeniem na bal, który miał się odbyć nazajutrz.

W takich to okolicznościach znajdowali się mieszkańcy gospody pod koniec listopada 1819 r. W kilka dni potem Eugeniusz był na balu u pani de Beauséant i powrócił do domu około drugiej po północy. W wirze tańca odważny student dał sobie słowo, że pracować będzie aż do dnia, żeby odzyskać czas stracony. Wspaniałość wielkiego świata wzbudziła w nim fałszywą energię, pod wpływem której postanowił przepędzić pierwszą noc bezseną w cichej swej dzielnicy.

Eugeniusz nie jadł obiadu u pani Vauquer i mieszkańcy gospody sądzili, że powróci z balu dopiero nad ranem, tak jak zwykł był powracać z uroczystości w Prado lub Odeonie, nie mogąc ustrzec się od zabłocenia swych pończoch jedwabnych i wykręcając lekkie trzewiki balowe. Wieczorem przed zaryglowaniem drzwi Krzysztof wyjrzał jeszcze na ulicę. W tej chwili Eugeniusz pokazał się we drzwiach i wszedł cichutko do swego pokoju; Krzysztof udał się za nim stąpając głośno. Młody człowiek rozebrał się, włożył pantofle, naciągnął wytarty surducik, rozpalił torf w kominie i wziął się rażno do pracy. Krzysztof stukał tak głośno swymi grubymi trzewikami, że zagłuszył zupełnie szmer wywołany przygotowaniem młodego człowieka. Przed zagłębieniem się w księgi prawne, Eugeniusz wpadł w chwilową zadumę. Poznał w wicehrabinie de Beauséant jedną ze świetnych gwiazd Paryża, której dom uchodził za najprzyjemniejszy na przedmieściu Saint-Germain. Prócz tego imię i majątek stawiały ją w pierwszym rzędzie arystokracji. Dzięki pani de Marcillac, biedny student został mile przyjęty w domu wicehrabiny, nie pojmując nawet całej doniosłości podobnej laski. Być przyjętym w owych salonach złocistych znaczy to tyle, co otrzymać dyplom szlachecki; kto pokazał się wśród towarzystwa wyborowego, ten zdobył sobie prawo bywać wszędzie, gdzie tylko zapragnie. Eugeniusza olśnił blask świetnego zgromadzenia. Zamieniwszy zaledwie kilka słów z wicehrabiną, zaczął się przyglądać bożyszczom paryskim, które się tutaj zebrały na raut, i wkrótce wyróżnił w tłumie kobietę taką, jaka zazwyczaj bywa pierwszym ideałem młodzieńca.

Hrabina Anastazja de Restaud, wysoka i okazała, słynna była z nadzwyczaj kształtnej kibici. Wyobraźcie sobie duże czarne oczy, rękę prześliczną, nogę kształtną, ruchy pełne ognia, słowem wyobraźcie kobietę, którą margrabia de Ronquerolles nazywał koniem czystej krwi. Usposobienie nerwowe nie ujmowało jej bynajmniej wdzięku; figurę miała pełną, ale nie można jej było zarzucić zbytnej otyłości. Wyrażenia takie, jak: **koń czystej krwi**, **kobieta rasowa**, zaczynały zastępować przenośnie Osjaniczne, owe porównania z aniołami i całą mitologią miłosną, którą odrzuca dzisiejszy dandyzm. Dla Rastignaca pani Anastazja de Restaud była kobietą upragnioną. Otrzymał to, że dwa razy zapisała jego nazwisko na wachlarzu, pomiędzy nazwiskami innych tancerzy, i zaraz w pierwszym kontredansie rozpoczął z nią rozmowę:

– Gdzie będę mógł widywać panią nadal? – zapytał nagle z tą siłą namiętą, która się tak podoba kobietom.

– Ależ wszędzie – odpowiedziała – na przechadzkach, w teatrze, w moim domu wreszcie.

I lekkomyślny południowiec przywiązał się do rozkosznej hrabiny o tyle, o ile młodzieniec może się przywiązać do kobiety przez ciąg jednego kontredansa i walca. Hrabina, która mu się wydała wielką panią, zaprosiła go do siebie, dowiedziawszy się, że jest kuzynem pani de Beauséant. Po ostatnim uśmiechu, który mu rzuciła, Eugeniusz postanowił być u niej koniecznie. Szczęście mu sprzyjało, bo tegoż wieczora spotkał człowieka, który nie wyśmiewał się wcale z jego nieświadomości, a trzeba wiedzieć, że nieświadomość podobna byłaby grzechem śmiertelnym w oczach sławnych impertynentów owego czasu, ludzi takich jak Maulincourt, Ronquerolles, Maksym de Trailles, de Marsay, Adjuda-Pinto, Vandenesse. Próżna ta młodzież otaczała grono najwykwintniejszych kobiet, z których wymieniamy lady Brandon, księżnę de Langeais, hrabinę de Kergarouet, panią de Sérizy, księżnę de Carigliano, hrabinę Eerraud, panią de Lanty, margrabinę d'Aiglemont, panią Eirmiani, margrabinę de Listomere i margrabinę d'Espard, księżnę de Maufrigneuse i panie Grandlieu. Szczęściem więc naiwny student natrafił na margrabię Montriveau, kochanka księżnej de Langeais. Jenerał ten prostoduszny jak dziecko, objaśnił mu, że hrabina de Restaud mieszka przy ulicy du Helder. Młody, spragniony świata, tęskniący do kobiety, ujrzał na raz dwa domy otwierające się przed sobą, mógł bywać na przedmieściu Saint-Germain u

wicehrabiny de Beauséant, a na Chaussée-d'Antin uklęknąć przed hrabiną de Restaud; mógł jednym spojrzeniem ogarnąć cały szereg salonów paryskich, wiedząc, że jest młodzieńcem dość pięknym, by znaleźć w sercu kobiety współczucie i opiekę; czuł w sobie dość ambicji, by wskoczyć na linę, po której trzeba iść ze śmiałością skoczka pewnego siebie, a przy tym najśliczniejsza z kobiet miała mu służyć za balans!

Któż na miejscu Eugeniusza nie zagłębiłby się myślą w przyszłość, któż nie marzyłby o powodzeniach, mając głowę pełną myśli podobnych i widząc oczyma wyobraźni obraz wspaniałej kobiety wznoszący się na tle rozżarzonego torfu, pomiędzy kodeksem z jednej, a nędzą z drugiej strony? Bujna wyobraźnia malowała mu tak żywo przyszłe rozkosze, że zaczynał prawie wierzyć, iż pani de Restaud znajduje się tuż przy nim, gdy nagle głośnie westchnienie rozległo się w ciszy nocnej i ozwało się w sercu młodzieńca jak chrapliwy oddech konającego. Otworzywszy ostrożnie drzwi, wyszedł na korytarz i spostrzegł smugę światła wymykającą się spod drzwi ojca Goriot. Przyszło mu na myśl, że sąsiad mógł zachorować nagle; zbliżył się więc do drzwi, przyłożył oko do dziurki od klucza i zajrzawszy w głąb pokoju, spostrzegł starca zajętego dziwną pracą. Zajęcie jego wydało się Eugeniuszowi tak występny, że postanowił wyświadczyć społeczeństwu przysługę, śledząc nocne sprawki mniemanego fabrykanta makaronu. Ojciec Goriot przytwierdził do listwy przewróconego stołu półmisek srebrny wyzlaczany i takąż wagę, następnie wziął sznur i okręciwszy nim oba naczynia wspaniale rzeźbione, zaczął je ścisnąć z nadzwyczajną siłą, jak gdyby chciał zrobić z nich jednolitą bryłę metalu.

– Cóż to za człowiek, u licha! – szepnął Rastignac, spoglądając na żylaste ramiona starca, który, otoczywszy sznurem kawał srebra, gniótł je jak ciasto, nie sprawiając najmniejszego szmeru. – Może to złodziej lub spółnik złodziejski, który żyje jak żebrak, udając głupotę i niedołęstwo, aby tym bezpieczniej oddać się swemu rzemiosłu. – Student wyprostował się przy tych słowach, lecz po chwili przyłożył znów oko do dziurki od klucza. Ojciec Goriot odwinął szpagat, rozesał na stole kołdrę i zaczął tacać bryłę srebrną robiąc z niej walec podłużny; czynność tę wykonywał z niepojętą łatwością. – Chyba ten człowiek posiada siłę Augusta, króla polskiego – szepnął Eugeniusz, widząc, że walec coraz bardziej się wydłuża. Ojciec Goriot popatrzył ze smutkiem na swe dzieło, lzy zabłyśły mu w oczach i zdmuchnął stoczek, który przyświecał jego pracy, po czym nowe westchnienie obito się o uszy Eugeniusza.

– To wariat – pomyślał student.

– Biedne dziecię! – zawołał głośno ojciec Goriot.

Na te słowa Rastignac postanowił zamilczeć o nocnej przygodzie i nie sądzić zbyt srogo swego sąsiada. Chciał już powracać do siebie, gdy postyszał nagle szmer dziwny: zdawało się, że ktoś w skarpetkach wełnianych stąpa po schodach. Eugeniusz nadstawił ucha i rozpoznał rzeczywiście oddech miarowy dwóch ludzi. Nie słyszał ani skrzypnięcia drzwi, ani wyraźnego stąpania, tylko światelko słabe nagle zabłyśło na drugim piętrze u pana Vautrin.

– Ile tu tajemnic w tej gospodzie mieszczańskiej! – powiedział student, schodząc o kilka stopni niżej. Zaczął się przysłuchiwać i po chwili dźwięk złota obił się o jego uszy. Światło zagasło wkrótce i znowu dał się słyszeć podwójny oddech, przy czym nie można było rozróżnić ani otwierania, ani zamykania drzwi. Szmer stawał się coraz słabszy, w miarę jak się dwaj mężczyźni oddalali.

– Kto idzie? – zawołała pani Vauquer, otwierając okno.

– To ja powracam, mamu Vauquer – ozwał się gruby głos Vautrina.

– Jednak to coś dziwnego! Krzysztof pozasuwał przecie rygle – mówił Eugeniusz, wracając do swego pokoju. – W Paryżu trzeba czuwać, żeby wiedzieć wszystko, co się dzieje dokoła.

To, co słyszał, przerwało wątek miłosnych i ambitnych rozmyślań. Postanowił zająć się pracą, lecz nie mógł odegnać podejrzeń obudzonych postępkami ojca Goriot, nie mógł zapomnieć twarzy pani de Restaud, która stawała przed nim co chwila niby wróżka świetnej przyszłości i skończył na tym, że upadłszy na łóżko zasnął snem kamiennym. Na dziesięć nocy, które młodzież obiecuje

poświęcić pracy, siedem odpadnie z pewnością na sen. Trzeba mieć więcej niż dwadzieścia lat, żeby móc czuwać.

Nazajutrz rano gęsta mgła pokryła Paryż. W taką pogodę ludzie najbardziej punktualni myślą się co do czasu, spóźniają się na spotkania, które nazaczyli we własnym interesie, a o południu myślą, że to dopiero ósma rano. Było już wpół do dziesiątej, a pani Vauquer nie myślała jeszcze ruszyć się z łóżka. Krzysztof i gruba Sylwia wstali też później niż zwykle i zapijali najspokojniej kawę zabieloną wierzchnią warstwą mleka przeznaczonego dla stołowników. Zdjąwszy najgęstszą śmietankę, Sylwia gotowała mleko bardzo długo, żeby pani Vauquer nie mogła się domyśleć owej dziesięciny nieprawnie pobieranej.

– Sylwio – rzekł Krzysztof, biorąc pierwszą grzanekę – pan Vautrin, który, trzeba wam wiedzieć, jest bardzo dobry, dzisiejszej nocy przyjmował znów dwie osoby. Jeżeli się pani niepokoi, to nic mówić nie trzeba.

– Czy dostaliście co od niego?

– Dał mi sto sous na miesiąc, to znaczy tyle, jakby powiedział: Trzymaj język za zębami.

– Tylko on i pani Couture nie drżą nad każdym groszem – rzekła Sylwia – zresztą wszyscy radzi by wyciągnąć nam z lewej ręki to, co w dzień nowego roku wkładają do prawej.

– Jeszcze żeby choć co dobrego dawali! – dorzucił Krzysztof – wielkie mi dziwy, jakieś nędzne sto sous. Goriot na przykład już od dwóch dni sam czyści swoje obuwie. Ten obdartus Poirret obchodzi się wcale bez szuwaksu, a gdyby go miał, to wypiłby go pewnie, nie oczyściwszy swoich pantofli. Albo ten smyk student. Cóż on mi daje? czterdzieści sous, to mnie i szczotki więcej kosztują, a stare odzienie sprzedaje i nie wie sam, co za nie wypraszać.

– Ba – odpowiedziała Sylwia, pijąc z wolna kawę – z tym wszystkim lepiej jest służyć w tym domu niż gdzie indziej w naszej dzielnicy: tu przynajmniej dobrze się żyje. Ale czekajcie no, Krzysztofie, czy nie mówił z wami ktokolwiek o grubym jegomości Vautrin?

– I owszem. Przed kilku dniami spotkał mnie na ulicy jakiś pan i zapytał: Czy to nie u was mieszka gruby jegomość, który czerni sobie faworyty? A jam odpowiedział: „Nie, proszę pana, on nie czerni faworytów. Gdzie by też taki wesoły człowiek miał czas po temu?” Otóż powtórzyłem wszystko co do joty panu Vautrinowi, a ten mi na to: „Dobrześ zrobił, mój chłopcze! Odpowiadaj zawsze tak samo. Bardzo to nieprzyjemnie, gdy ludzie poznają nasze słabości. To może przeszkodzić zawarciu małżeństwa.”

– Otóż to! i mnie na rynku chciano wyciągnąć na słówko, żeby się dowiedzieć, czy nie widziałam kiedy, jak Vautrin odmieniał koszulę. Oto komedia! Masz tobie – zawołała nagle – na Val-de-Grâce bije trzy kwadransy na dziewiątą, a nikt nie myśli ruszyć się z łóżka.

– Zachcieliście! przecie wszyscy powychodzili. Pani Couture poszła o ósmej ze swą panną spożyć Pana Boga w Saint-Etienne. Ojciec Goriot wyszedł z jakimś pakietem. Student powróci z lekcji dopiero o dziesiątej. Zamiatalem właśnie schody, gdy wszyscy wychodzili. Ojciec Goriot trącił mnie tym, co niósł w rękę, a było to coś twardego jak żelazo. Jednak to ciekawość, czym się ten nieborak zajmuje? Musi zawsze tańczyć, jak mu inni każą, pomimo to najpoczcwiwszy jest ze wszystkich i więcej wart od innych. Niewiele się u niego pożywić można, ale za to owe panie, do których mnie czasami posyła, postrojone są jak lalki i nie żałują dać człowiekowi na piwo.

– Jakież to? Te, które nazywa córkami? Jest ich, zdaje się, cały tuzin.

– Ja ci tam nie byłem u innych, tylko u tych dwóch, które tutaj przychodzą.

– Słyszę, że już pani zaczyna się ruszać; to dopiero zacznie sodomę wyprawiać; trzeba iść co prędzej. Pilnujcie mleka, Krzysztofie, żeby się tu kot nie zawinął.

Sylwia poszła do pokoju swej pani.

– Co to ma znaczyć, Sylwio, biło już trzy kwadransy na dziewiątą, a ja z waszej łaski spałam jak bobak. Nic podobnego jeszcze nie bywało.

– To, proszę pani, z powodu mgły dzisiejszej, którą choć nożem krajać, tak jest gęsta.

– Ale cóż będzie ze śniadaniem?

– Ba, wszyscy nasi lokatorowie mieli chyba diabła za skórą, bo wszyscy zemknęli równo z brzaskiem. Śniadanie więc może być dziś o dziesiątej. Michonnette i Poireau ani myśleli jeszcze wstawać. Tylko oni oboje są w domu i śpią jak prawdziwe bałwany.

– Ależ, Sylwio, mówisz o obojgu razem, jak gdyby...

– Jak gdyby co? – zapytała Sylwia, wybuchając głupim śmiechem. – Przecie oboje jakby dobrani do pary.

– Jednak to coś dziwnego, Sylwio, jakim sposobem pan Vautrin wrócił dziś w nocy do domu, kiedy Krzysztof pozasuwał przedtem rygle?

– Wcale nie, proszę pani, Krzysztof postyszał, że pan Vautrin wraca i zszedł na dół, żeby mu otworzyć drzwi. A pani się zdało, że...

– Podaj mi kaftanik i ruszaj śpiesznie zająć się śniadaniem. Przybierz kartoflami pozostałą baraninę i podaj gruszki gotowane, tylko te, co kosztują po dwa liardy sztuka.

Niebawem pani Vauquer zeszała na dół i spostrzegła na wstępie kota, który rzucił łapką talerz pokrywający garnuszek z mlekiem i rzączył się z największym pośpiechem.

– Mistigris! – krzyknęła wdowa. Kot zemknął, lecz po chwili powrócił, łaszcząc się do pani.

– Tak, tak, przymilaj się, stary łotrze. Sylwio, Sylwio!

– Co pani każe?

– Zobacz no, co kot zrobił!

– To wina tego bydlaka Krzysztofa, któremu poleciłam nakryć do stołu. Gdzie on się podział? Niech się pani tylko nie troszczy, to będzie porcja ojca Goriot. Doleję trochę wody, a on się na tym nie pozna, bo nie zważa na nic, nawet na to, co je.

– A ten Chińczyk gdzie poszedł? – zapytała pani Vauquer, rozstawiając talerze.

– Kto to może wiedzieć? Ten człowiek zajmuje się diablami sprawkami.

– Znadtom się przespała – mówiła dalej pani Vauquer.

– Ale za to świeża pani jak róża...

W tej chwili ozwał się dzwonek i pan Vautrin wszedł do salonu, śpiewając grubym głosem:

Długo błądziłem po szerokim świecie  
I teraz jeszcze aż wspomnieć miło...

– Ach, ach, dzień dobry, mamó Vauquer – zawołał, zbliżając się ku gospodyni i ujmując ją czule w ramiona.

– No, no, przestań pan!

– Przestań zuchwalcze, powiedz pani. Proszę, powiedz pani: zuchwalcze. Zechciej pani powiedzieć... Proszę pozwolić, pomogę pani nakryć do stołu. Cóż, grzeczny jestem, wszak prawda?

Jakem się kochał w blondynce, brunecie  
Zalecał, wzdychał...

– Widziałem przed chwilą rzecz dziwną.

. . . jak się zdarzyło.

– Cóż takiego? – zapytała wdowa.

– Ojciec Goriot był o wpół do dziesiątej na ulicy Dauphine u złotnika, który kupuje stare srebra i galony. Sprzedał mu jakiś sprzęt stołowy ze srebra wyłaczanego, ale tak nielitościwie zmiażdżony, że trudno uwierzyć, aby tego mógł dokonać człowiek nie fachowy.

– Czy być może?

– Nie inaczej. Wracalem do domu, odprowadziwszy jednego z mych przyjaciół, który odjechał dylizansiem królewskiego pocztowego zarządu. Spozrzegłszy ojca Goriot przystanalem, żeby zobaczyć, co to będzie, i byłem świadkiem zabawnej historii. Powróciwszy do naszej dzielnicy, szedł ulicą des Gres aż wstąpił do domu lichwiarza Gobsecka. Trzeba wiedzieć, że ten Gobseck, to porządny łotr, który bez żadnego wahania robiłby tabliczki do domina z kości swego ojca, jakiś Żyd, Arab, Grek czy Cygan, którego niełatwo byłoby okraść, bo umieszcza swoje dukaty w banku.

– To jednak dziwne, co też ten Goriot robi?

– Nic nie robi, a przeciwnie przerabia to, co ma. To głupi niedołęga, co wszystko stracił przez miłość dla kobiet, które...

– Oto i on – rzekła Sylwia.

– Krzysztofie – zawołał ojciec Goriot – pójdź ze mną na górę.

Krzysztof poszedł i powrócił za chwilę.

– Dokąd idziesz? – zapytała go pani Vauquer.

– Posyła mnie ojciec Goriot.

– A to co? – zawołał Vautrin, wrywając Krzysztofowi list zaadresowany do hrabiny Anastazji de Restaud. – Dokądże idziesz? – zapytał, oddając list Krzysztofowi.

– Na ulicę du Helder. Mam rozkaz oddać to do własnych rąk pani hrabiny.

– Cóż tam być może wewnątrz? – rzekł Vautrin, przeglądając list przed światłem – czy nie bilet bankowy? Ale nie – mówił dalej, rozwierając z lekka róg koperty. – To kwit! – zawołał. – Daj go katu! ten stary frant umie się zalecać. Idź, stary marudo – dodał, kładąc swą dłoń szeroką na głowie Krzysztofa i okręcając go w kółko jak pionek – nie pożąają dać ci na piwo.

Stół był już nakryty, Sylwia gotowała mleko. Pani Vauquer roznieciła ogień z pomocą Vautrina, który nie przestawał nucić:

Długo błądziłem po szerokim świecie  
I teraz jeszcze aż wspomnieć miło...

Wszystko już było gotowe, gdy pani Couture weszła w towarzystwie panny Taillefer.

– Skądżeście to tak rano, moje piękne panie? – spytała pani Vauquer, zwracając się do wchodzących.

– Byłyśmy w Saint-Etienne-du-Mont u spowiedzi; przecie mamy dziś być u pana Taillefer. Biedna moja mała drży jak listek, – mówiła pani Couture, siadając koło pieca i wygrzewając przed ogniem trzewiki, które zaczęły parować pod wpływem ciepła.

– Ogrzej się, Wiktoryno – rzekła pani Vauquer.

– Bardzo to pięknie, że się pani modli do Boga, by raczył zmiękczyć serce jej ojca – rzekł Vautrin, podając krzesło sierocie – ale sama modlitwa tu nie wystarcza. Potrzeba pani przyjaciela, który by potrafił przemówić stosownie do tego starego bydlaka. Powiadają przecie, że dziki ten człowiek ma trzy miliony kapitału, a pani nie daje żadnego posagu. W naszych czasach najpiękniejsza panna potrzebuje posagu.

– Biedne dziecię! – rzekła pani Vauquer. – Wiesz co, moja rybko, ten potwór, którego nazywasz ojcem, ściąga dobrowolne nieszczęście na swą głowę.

Na te słowa oczy Wiktoryny zasły łzami, a pani Couture dała znak wdowie, by nie mówiła dalej.

– Gdybyśmy tylko mogły zobaczyć go i wręczyć mu ostatni list jego żony – rzekła wdowa po wojskowym komisarzy. – Nigdy nie odważyłam się przesłać go pocztą. Taillefer zna moje pismo...

– O kobiety niewinne, nieszczęśliwe i prześladowane! – zawołał Vautrin – więc tak to rzeczy stoją? Za kilka dni ja się wmieszam w wasze sprawy i wszystko pójdzie jak z płatka.

– O, panie – zawołała Wiktoryna, a oczy jej zamglone i palące zarazem spoczęły na Vautrinie którego spojrzenie dziewczęcia nie wzruszyło wcale – jeżeli pan znajdziesz sposób zbliżenia się do

mego ojca, to powiedz mu, że jego przywiązanie i dobra sława mej matki droższe mi są nad wszystkie skarby świata. Będę się modliła za pana, jeżeli pan potrafisz złagodzić jego surowość. Możesz pan być pewien wdzięczności.

– „Długo błądziłem po szerokim świecie” – zaśpiewał Vautrin głosem pełnym ironii.

W tej chwili Goriot, panna Michonueau i Poiret weszli do pokoju, zwabieni prawdopodobnie zapachem masła, na którym Sylwia podsmażała kawałki baraniny. Wszyscy obecni zajęli swoje miejsca, życząc sobie dnia dobrego; w tej chwili właśnie wybiła dziesiąta, a na ulicy dały się słyszeć kroki studenta.

– Ot i dobrze, panie Eugeniuszu – rzekła Sylwia – dziś pan zje śniadanie razem ze wszystkimi. Student uklonił się zgromadzonym i zajął miejsce obok ojca Goriot.

– Miałem dziś szczególną przygodę – wyrzekł, biorąc ogromną porcję baraniny i spory kawał chleba, który pani Vauquer zmierzyła kilkakrotnie okiem.

– Przygodę! – zawołał Poiret.

– Cóż stąd? czy cię to zadziwia, stara szlafmyco? – rzekł Vautrin do Poireta. – Takim ludziom jak pan Eugeniusz nie trudno o przygodę.

Panna Taillefer rzuciła nieśmiało spojrzenie na młodego studenta.

– Opowiedz nam pan, co to była za przygoda – prosiła pani Vauquer.

– Wczoraj byłem na balu u mojej kuzynki, wicehrabiny de Beauséant, która posiada dom wspaniały i przepyszne salony obite materiałem jedwabnym. Bal był świetny i bawiłem się jak król...

– Ik – wtrącił Vautrin, przerywając studentowi.

– Co to ma znaczyć, panie? – zawołał Eugeniusz z żywością.

– Powiedziałem **ik**, bo królik bawi się lepiej niż król.

– Wielka prawda; wolałbym być tą ptaszyną swobodną niż królem, ponieważ... – potwierdził zgadzający się na wszystko Poiret.

– Jednym słowem – przerwał student, nie dając mu dokończyć – tańczyłem z najśliczniejszą kobietą, z pewną zachwycającą hrabiną, nad którą nic piękniejszego w życiu nie widziałem. Miała we włosach kwiaty brzoskwiniowe, u boku prześliczny bukiet żywych kwiatów, które rozlewały dokoła woń cudowną; ale ba! trzeba było ją widzieć, bo któż zdoła opisać kobietę ożywioną wirem tańca. Otóż wystawcie sobie państwo, że dziś o dziewiątej rano spotkałem tę boską hrabinę, gdy szła ulicą des Gres. Ach, jak mi serce biło! zdawało mi się...

– Że ona tu zmierza – rzekł Vautrin, rzucając na studenta głębokie wejrzenie. – A ona szła pewnie do papy Gobsecka, znanego lichwiarza. Jeżeli będziesz pan kiedy badał serca kobiet paryskich, to bądź pewien, że lichwiarza znajdziesz zawsze przed kochankiem. Pańska hrabina nazywa się Anastazja de Restaud i mieszka przy ulicy du Helder.

Na to imię student wpatrzył się w Vautrina. Ojciec Goriot podniósł nagle głowę i ku ogólnemu zdziwieniu zmierzył obu mówiących wzrokiem jasnym i pełnym niepokoju.

– Pewnie Krzysztof się spóźni i ona sama tam poszła! – zawołał Goriot z boleścią.

– Cóż, czy nie zgadłem? – zapytał Vautrin, pochylając się do ucha pani Vauquer.

– Panie Vautrin – zawołał Eugeniusz – kto u licha mógł powiedzieć panu jej imię?

– Ach, ach! otóż to – odparł Vautrin. – Przecie i ojciec Goriot znał je dobrze, dlaczegóż bym ja nie miał wiedzieć?

– Panie Goriot! – zawołał student.

– Co? – spytał biedny stary. – Więc ona była wczoraj bardzo piękna?

– Kto taki?

– Pani de Restaud.

– Patrz pan, jak staremu nieborakowi oczy się zapalają – rzekła pani Vauquer do Vautrina.

– Czyżby on ją utrzymywał? – szepnęła panna Michonneau do studenta.

– O, tak, była wściekle piękna! – odparł Eugeniusz, w którego ojciec Goriot chciwie się wpatrywał. Gdyby nie było pani de Beauséant, moja boska hrabina byłaby królową balu. Młodzież ją

tylko jedną widziała; byłem dwunasty na liście tancerzy, gdyż nie opuściła ani jednego kontredansa. Inne panie wściekały się, patrząc na to. Jeżeli kto był szczęśliwy wczoraj, to pewnie ona. Słusznie powiadają, że nic piękniejszego, jak statek z rozwiniętymi żaglami, koń w galopie i kobieta w tańcu.

– Wczoraj na najwyższym szczeblu, u księżnej – rzekł Vautrin – dziś na dole drabiny, u lichwiarza; takie to paryżanki. Gotowe się sprzedać, gdy mężowie nie mogą wystarczyć na ich szalone zbytki. Gdy nie umieją się sprzedać, to rade by rozdrzeć łono własnej matki, byle znaleźć to, co pozwala im błyszczeć. Na wszystko są gotowe. Znane to, znane!

Gdy student mówił, twarz ojca Goriot jaśniała, jak słońce w dzień pogodny, lecz okrutna uwaga Vautrina powlekła ją znowu chmurą smutku.

– Ależ, panie – rzekła pani Vauquer – gdzie pańska przygoda? czyś pan mówił z hrabiną? Możeś pan ją zapytał, czy nie chciałyby uczyć się prawa?

– Ona mnie nie widziała – odparł Eugeniusz. – Ale czyż to nie dosyć spotkać na ulicy des Gres, o dziewiątej rano, najpiękniejszą z kobiet paryskich, która wróciła z balu przynajmniej o drugiej po północy? Tylko w Paryżu mogą dziać się podobne rzeczy.

– Ale, ba! dzieje się wiele dziwniejszych rzeczy – zawołał Vautrin.

Panna Taillefer na pół tylko słyszała, o czym mówiono, gdyż cała zajęta była próbą, którą dziś miała przedsięwziąć. Pani Couture dała jej znak, że czas już iść się ubierać. W ślad za obiema paniami wyszedł i ojciec Goriot.

– A co, czyście państwo widzieli? – zapytała pani Vauquer, zwracając się do Vautrina i innych stołowników. – Rzecz oczywista, że on się dla tych kobiet zrujnował.

– Nikt mi nigdy nie wmówi – zawołał student – że piękna hrabina de Restaud może należeć do ojca Goriot.

– Ależ my nie staramy się bynajmniej przekonać pana – przerwał Vautrin. – Jesteś pan za młody, żeby dobrze znać Paryż, później się pan dowiesz, że są tu pewne osobistości, które my nazywamy: *hommes a passions...*

Przy tych słowach panna Michonneau spojrzała na Vautrina wzrokiem pojętym jak rumak wojskowy, który usłyszy dźwięk trąbki.

– Ach, ach? – zawołał Vautrin, zatrzymując się i mierząc ją głębokim wejrzeniem – albo to i my nie mieliśmy drobnych namiętności...

Stara panna spuściła oczy, jak zakonnica na widok posągów.

– Otóż tacy ludzie jak się czego uczipią, to nic nie zdoła ich odwieść od powziętej myśli. Pragną tylko pewnej wody czerpanej z pewnego źródła, jakkolwiek często woda ta bywa zepsuta, a pragną się napić za jaką bądź cenę, choćby przyszło sprzedać żonę i dzieci lub zapisać czartu duszę. Dla jednych owym źródłem upragnionym bywa gra, giełda, muzyka, zbiór obrazów lub owadów; dla innych może to być kobieta, która umie przyrządzać ulubione ich przysmaki. Ci ostatni nie dbają o żadną inną kobietę na świecie, cenią tylko tę, która umie pochlebiać ich słabostkom. Bywa często, że owa kobieta nie kocha ich wcale, obchodzi się z nimi bez ceremonii i drogo każe płacić za drobne okrucy przyjemności; a jednak dziwacy nie zrażają się wcale i radzi by zastawić ostatnią koldrę w lombardzie, byle dukat ostatni oddać wybranej kobiecie. Ojciec Goriot należy właśnie do takich ludzi. Hrabina eksploatuje go, korzystając z jego dyskrecji. Taki to świat wyższy! Nieszczęśliwy nieborak o niej tylko myśli. Poza sferą swej namiętności staje się, jak widzicie, dzikim zwierzęciem, ale dość najłżejszej wzmianki o tem, co go obchodzi, by twarz jego zajaśniała jak brylant. Nie trudno wyjaśnić tę ostatnią tajemnicę. Dziś rano odniósł sam swe srebro złożone do przetopienia, a później widziałem go, jak wchodził do papy Gobseck na ulicy des Gres. Proszę tylko uważać. Po powrocie posłał do hrabiny tego głupca Krzysztofa, co pokazał nam adres listu, w którym znajdował się kwit. Musiała być pilna potrzeba, skoro sama hrabina szła do starego lichwiarza. Ojciec Geriot zapłacił za nią uprzejmie. Nie trzeba być zbyt mądrym, żeby rzecz całą pojąć dokładnie. Otóż możesz się pan przekonać, młody mój studencie, że pańska hrabina śmiała się wczoraj, tańczyła, przymilała się, powiewała brzoskwinowymi kwiatami i unosiła z wdziękiem suknię, a pomimo to była, jak to

mówią, między młotem i kowadłem, myśląc o swoich zaprotestowanych wekslach lub o wekslach swego kochanka.

– Obudzasz pan we mnie wściekłą chęć zbadania prawdy. Idę jutro do pani de Restaud! – zawołał Eugeniusz.

– Tak jest – potwierdził Poiret – trzeba być jutro u pani de Restaud.

– Bardzo być może, że znajdziesz tam pan poczciwego Goriota, który pójdzie upomnieć się o zapłatę za swą uprzejmość.

– Ależ – powiedział Eugeniusz z wyrazem wstrętu – w takim razie wasz Paryż jest kałużą.

– I to dziwną kałużą – odparł Vautrin. – Ci, których powozy grzęzną w błocie, nazywają się uczciwymi ludźmi; ci, którzy brną przez nie piechotą, noszą miano łotrów. Komuś przysłała nieszczęściem pokusa skraść jakąś bagatelę i oto wszyscy zatrzymują się przed Trybunałem Sprawiedliwości, by patrzeć nań jak na dziwowisko. Inny ukradł milion i uchodzi w salonach za wzór cnoty. A żandarmeria i sprawiedliwość pobierają trzydzieści milionów za utrzymanie moralności. Doskonale!

– Jak to – zawołała pani Vauquer – czyżby Goriot dał przetopić swój serwis porcelanowy?

– Czy nie było tam między innymi pokrywki z dwiema synogarlicami? – zapytał Eugeniusz.

– A tak właśnie.

– Stary musiał cenić bardzo ten serwis, gdyż zapłakał, zgniółszy kubek i półmisek. Widziałem to przypadkiem – rzekł Eugeniusz.

– Cenił go jak własne życie – odrzekła wdowa.

– Patrzcie no państwo, jak ten nieborak namiętny – wykrzyknął Vautrin. – Widocznie kobieta owa umie pogłaskać go po sercu.

Student udał się do swego pokoju, a Vautrin wyszedł na miasto. W kilka chwil później pani Couture i Wiktoryna wsiadły do dorożki, którą im Sylwia sprowadziła. Poiret podał ramię pannie Michonneau i oboje udali się do Ogrodu Botanicznego, by przepędzić na przechadzce dwie swobodne godziny.

– A co? Toć wyglądają bez mała jak para małżonków – rzekła Sylwia. – Dotychczas nigdy jeszcze nie wychodzili razem. Oboje są tak zasuszeni, że potrafcący się wzajemnie mogą skrzesać ognia jak krzesiwo.

– A panna Michonneau winna strzec swego szala, by się nie zajął jak hubka – dodała pani Vauquer ze śmiechem.

O czwartej wieczorem Goriot wszedł do pokoju i spostrzegł przy świetle dwóch lamp kopających, że oczy Wiktoryny były zaczerwienione od płaczu. Pani Vauquer słuchała opowiadania o niefortunnej wyprawie do pana Taillefer. Znudzony odwiedzinami córki i pani Couture, ojciec Wiktoryny postanowił rozmówić się z nimi i kazał dopuścić je do siebie.

– Moja droga pani – ciągnęła dalej pani Couture, zwracając się do pani Vauquer – proszę sobie wyobrazić, że Wiktoryna stała cały czas, a on nie zachęcił jej ani jednym słowem, by usiadła. Mnie zaś powiedział z zimną krwią, bez najmniejszego gniewu, że przychodzimy nadaremnie i powinniśmy oszczędzić sobie nadal tego trudu, gdyż **panna** może pogorszyć tylko swą sprawę, gdy będzie zbyt natrętna (a toć bywamy tylko raz do roku u tego potwora, który nie nazwał nawet Wiktoryny swą córką!). Powiedział dalej, że Wiktorynie nic się nie należy, gdyż matka jej nie miała wcale posagu i dodał jeszcze tyle słów okrutnych, aż moja biedaczka we łzy się rozlała; ale później upadła mu do nóg i powiedziała z odwagą, że chodzi jej tylko o matkę, że sama bez szemrania ulegnie jego woli, byle tylko zechciał przeczytać testament nieszczęśliwej nieboszczki. Podała mu list, mówiąc przy tym rzeczy dziwnie piękne i rzewne. Nie wiem, skąd się jej zebrało na podobne wyrazy, chyba Bóg je zesłał; dziewczę bowiem było tak natchnione, że nawet ja, ja sama płakałam jak głupia, słuchając jej mowy. A wiesz pani, co robił ten przerażający człowiek? Obcinał sobie paznokcie, po czym wziął list zroszony łzami biednej pani Taillefer i rzucił go w ogień, mówiąc: O tak, to dobrze! Chciał podnieść

córkę, lecz cofnął wnet ręce, gdy spostrzegł, że biedaczka chce je ucałować. Czyż to nie łotrstwo? A synalo, bałwan, nie przywitał się nawet z siostrą, wchodząc do pokoju.

– Cóż to za potwory! – zawołał ojciec Goriot.

– A potem – ciągnęła dalej pani Couture, nie zważając na okrzyk pocziwca – ojciec i syn pożegnali mnie i odeszli, wymawiając się ważnymi sprawami. Oto i całe nasze odwiedziny. Ale widział przynajmniej swą córkę. Nie wiem, jak można się jej wypierać, gdyż podobna do niego, jak dwie krople wody.

Wszyscy stołownicy i mieszkańcy gospody zgromadzili się z wolna, życząc sobie dnia dobrego i zamieniając nic nie znaczące wyrazy, które w pewnych kółkach paryskich uchodzą za dowcip błyskotliwy, choć same przez się bywają bezmyślne, a całe znaczenie nadaje im gest i sposób, w jaki się wymawiają. Ten rodzaj żargonu zmienia się nieustannie, odnawiając się przynajmniej co miesiąc kosztem jakiegoś nowego żartu. Byle co nadaje się do podtrzymania takiej gry dowcipu, zarówno wypadek polityczny, jak i proces sądowy, piosenka uliczna lub farsa jakiego aktora; gdyż gra cała polega na tym, by chwytać myśli i wyrazy i, niby wolanta, na powrót je odrzucać. W nowszych czasach wynaleziono świeżo dioramę, wywołującą silniejsze złudzenie optyczne niż panorama; wskutek tego w niektórych malarniach przyjął się zabawny zwyczaj dodawania końcówki **rama** do wielu wyrazów. Pewien młody malarz uczęszczający do gospody Vauquer, zaprowadził między mieszkańcami zwyczaj dodawania tej końcówki do wyrazów.

– **Pannnie** Poiret, jakże tam pańskie **zdrowieczkorama**? – zapytał urzędnik z Muzeum i nie czekając odpowiedzi zwrócił się do pani Couture i Wiktoryny. – Zdaje się – rzekł – że panie mają jakieś zmartwienie.

– Czy będziemy dziś **ob-jadowali**? – zawołał jeden ze studentów medycyny, przyjaciel Rastignaca, imieniem Horacy Bianchon – moje **zoładeczko** opadło *usque ad talones*.

– Dziś wściekle **zimnowrama** – rzekł Vautrin. – Proszę się pofatygować, ojczu Goriot. Cóż u licha, pańska noga zakrywa cały otwór pieca.

– Znakomity panie Vautrin – rzekł Bianchon – dlaczego mówisz pan **zimnowrama**? To omyłka, należy mówić **zimnorama**.

– Nie – zawołał urzędnik z Muzeum – mówi się **zimnowrama** na zasadzie, że mówi się: zimno w nogi.

– Ach! ach!

– Oto i jego ekscelencja markiz de Rastignac, doktor prawa – lewego – zawołał Bianchon, schwyciwszy Eugeniusza za szyję i dusząc go w uścisku. – Oho, są już i inni, oho!

Panna Michonneau weszła z wolna, pozdrawiając obecnych milczącym ukłonem i usiadła obok trzech kobiet.

– Ta stara sowa nabawia mnie zawsze dreszczów – szepnął Bianchon do Vautrina, wskazując na pannę Michonneau. – Trzeba wiedzieć, że ja studiuję system Galla i widzę na jej głowie Judaszowe wypukłości.

– Czyś pan ją znał przedtem? – zapytał Vautrin.

– Któż jej nie spotykał! – odparł Bianchon. – Słowo daję, ta wybladła stara panna przypomina mi owe długie robaki, co zdolne są stoczyć najgrubszą belkę.

– Tak to bywa, młodzieńcze – rzekł czterdziestoletni mężczyzna, głaszcząc faworyty:

Więc róża, żyła tyle, ile żyją róże,  
Poranek jeden tylko.

– Ach, ach! oto i wyborna **zuporama** – zawołał Poiret, na widok Krzysztofa wnoszącego rosół z wielką powagą.

Młodzież wybuchnęła śmiechem.

– Przepraszam – zawołała pani Vauquer – bo to kapuśniak.

- Poiret pobity!
- Poirrrrette pobity!
- Proszę zapisać dwa punkty wygrane mamie Vauquer – rzekł Vautrin.
- Czy kto zauważył, jaką mgłę mieliśmy dzisiaj rano? – zapytał urzędnik.
- Była to – rzekł Bianchon – mgła wściekła i bezprzykładna, mgła ponura, melancholijna, zielona, dusząca, mgła Goriotowska.
- Goriorama – rzekł malarz – gdyż zupełnie zasłaniała światło.
- Hej, milordzie Gâdriotte, tu się mówi o was.

Ojciec Goriot siedział na końcu stołu przy drzwiach, przez które wnoszono jedzenie; zawołany, podniósł głowę, nie przestając wachać kawałka chleba wyjętego spod serwety było to stare przyzwyczajenie z czasów kupieckich, którego się jeszcze nie pozbył.

– Cóż to takiego? – zabrzmiał cierpko głos pani Vauquer, zagłuszając głośnie rozmowę oraz brzęk łyżek i talerzy – czy się panu chleb nie podoba?

– Przeciwnie, pani – odparł – to chleb z najprzedniejszej etampskiej mąki.

– Po czym to pan poznaje? – zagadnął Eugeniusz.

– Po białości, po smaku.

– Chybaś pan nosem smakował, bo widziałam, jakieś wachał kawałek chleba – rzekła pani Vauquer. – Stajesz się pan coraz oszczędniejszym i z czasem dojdiesz chyba do tego, że wdychanie wyziewów kuchennych będzie dla pana dostatecznym pożywieniem.

– Wtedy zastrzeż pan sobie własność wynalazku, a dorobisz się pięknego majątku – zawołał urzędnik z Muzeum.

– Dajcież państwo pokój! – rzekł malarz – ojciec Goriot chciał tylko dowieść swym postępkami, że był w rzeczy samej fabrykantem makaronu.

– Jak widać, z pańskiego nosa mogłaby być retorta – rzekł znów urzędnik z Muzeum.

– Co? – podchwycił Bianchon – re...

– Re-zeda.

– Re-flektor.

– Re-zerwa.

– Re-duta.

– Re-netka.

– Re-zydent.

– Re-nifer.

– Re-torama.

Osiem odpowiedzi posypało się niby grad kul ze wszystkich stron sali. Wrażenie było tym śmieszniejsze, że ojciec Goriot spoglądał po zgromadzonych z głupowatą miną człowieka, który usiłuje zrozumieć cudzoziemską mowę.

– Re? – powtórzył pytająco, zwracając się do siedzącego obok Vautrina.

– Re-umatyzm, mój starowino! – zawołał Vautrin, uderzając Goriota po głowie i właczając mu kapelusz aż na oczy.

Biedny staruszek tak osłupiał po tym napadzie niespodziewanym, że przez kilka minut siedział nieruchomy. Krzysztof sądził, że pan Goriot nie je już zupy i zabrał mu talerz; lecz nieborak nie spostrzegł tego i poprawiwszy kapelusz, opuścił łyżkę na stół w mniemaniu, że talerz znajduje się na swoim miejscu.

Wszyscy obecni parsknęli śmiechem.

– Mój panie – zawołał starzec – jesteś pan kiepskim trefnisiem! Nadal radzę mu powstrzymać się od podobnych sztuczek, bo...

– Bo co, tatusiu? – przerwał Vautrin.

– Bo kiedyś zapłacisz mi pan za to sownie...

– W piekle, nieprawdaż? – rzekł malarz – w tym ciemnym kąciuku, gdzie się stawia niegrzeczne dzieci.

– Pani nic nie je – rzekł Vautrin do Wiktoryny. – Zapewne ojczulek okazał się nieprzystępnym?

– To okropny człowiek – zawołała pani Couture.

– Warto by nauczyć go rozumu – rzekł Vautrin.

– Pani mogła by wytoczyć proces o artykuły żywności, gdyż wcale nie je – odezwał się Eugeniusz, który siedział niedaleko od Bianchona. – Ach, proszę no spojrzeć, jak ojciec Goriot wpatruje się w pannę Wiktorynę.

Stary zapomniał o jedzeniu i nie spuszczał oczu z twarzy dziewczęcia, napiętnowanej boleścią prawdziwą, boleścią dziecka odtrąconego, które pomimo to nie przestało kochać swego ojca.

– Mój drogi – szepnął Eugeniusz – źleśmy osądzili ojca Goriot. To nie jest ani głupiec, ani człowiek bez czucia. Spróbuj no zastosować do niego system Galla i wtedy powiedz mi swe zdanie. Dzisiejszej nocy sam byłem świadkiem, jak starzec ten gniótł półmisek srebrny i to z największą łatwością: rzekłbyś, że miał w ręku wosk a nie metal; w obecnej zaś chwili twarz jego zdradza uczucie niezwykle. Mnie się zdaje, iż życie Goriota zbyt jest tajemnicze, by nie zasługiwało na głębsze zbadanie. Tak, Bianchon, nie śmieję się, bo ja nie żartuję wcale.

– Nie przeczę – rzekł Bianchon – że dla medyka człowiek ten jest ciekawym okazem. Jeżeli się zgodzi, gotowym sam dokonać na nim sekcji.

– Lepiej pomacaj mu głowę.

– A, dziękuję! Kto wie, czy jego głupota nie jest zaraźliwa?

Nazajutrz, około trzeciej po południu, Rastignac ubrany bardzo wykwintnie poszedł do pani de Restaud. W drodze oddał się całej owej nadziei lekkomyślnej, która tysiącem wzruszeń barwi młode życie. Młodzież nie rachuje przeszkód i niebezpieczeństw; gra bujnej wyobraźni idealizuje życie w ich oczach i widzą przed sobą same powodzenia; zburzenie planów, które utworzyła żądza wybujała pogrąża ich w smutku, niekiedy nawet czyni nieszczęśliwymi; gdyby byli odważniejsi i mniej nieświadomi, to budowa społeczna nie mogłaby się przy nich ostać. Eugeniusz wystrzegał się jak mógł, żeby się nie zabłocić, a obok tego układał w myśli, co powie pani de Restaud, przysposabiał zapas dowcipu, wymyślał odpowiedzi stosowne do przypuszczalnej rozmowy, przygotowywał słówka dowcipne, zdania á la Talleyrand i przypuszczał tysiączne okoliczności mogące mu ułatwić wynurzenie uczuć, na którym opierał całą swą przyszłość. I biedny student zabłocił się tak okrutnie, że w Palais Royal musiał kazać oczyścić sobie buty i spodnie. „Gdybym był bogaty, rzekł do siebie rozmieniając stusoldową monetę, w którą się zaopatrzył na wszelki wypadek, byłbym pojechał powozem i mógłbym rozmyślać swobodnie”. Dostawszy się wreszcie na ulicę du Helder, zapytał o hrabinę de Restaud i spotkał pogardliwe wejrzenie służących, którzy domyślili się, że młody człowiek przyszedł piechotą, gdyż nie słyszeli turkotu przed bramą. Eugeniusz zniósł to wejrzenie z chłodną wściekłością człowieka, pewnego, że kiedyś zwycięży los przeciwny; niemniej jednak zabolowało go ono dotkliwie, gdyż wchodząc na podwórze sam przekonał się o swej niższości, na widok pięknego rumaka, który się tam niecierpliwił w bogatym zaprzęgu. Kabriolet, nie mniej piękny od rumaka, świadczył o zbytkownym i swobodnym życiu właściciela, który mógł prawdopodobnie kosztować wszystkich rozkoszy paryskich. Dostyc było tej jednej okoliczności, by zupełnie zepsuć studentowi humor. Wszystkie skrytki jego mózgu, które naładował dowcipem, zamknęły się naraz i Eugeniusz stał się zupełnie głupi. Stał na jednej nodze przed oknem przedpokojowym, oparł łokieć o zasuwkę i patrzył machinalnie na dziedziniec, czekając odpowiedzi hrabiny, której lokaj poszedł zameldować odwiedzających. Czas wydawał mu się nieznośnie długi i byłby wyszedł niezawodnie, gdyby nie posiadał tej uporczywości właściwej południowcom, która może działać cuda, jeżeli jest skierowana na drogę właściwą.

– Pani jest bardzo zajęta w swoim buduarze – rzekł kamerdyner – nie odpowiedziała mi wcale; ale może pan zechce przejść do salonu, tam czeka już ktoś inny.

Zastanawiając się nad władzą potężną tych ludzi, którzy jednym słowem obwiniają i sądzą swych panów, Eugeniusz zbliżył się do drzwi, przez które wychodził kamerdyner. Otworzył je niedbale, chcąc zapewne pokazać nadętym lokajom, że zna dobrze wewnętrzny rozkład mieszkania; ale wpadł nierozważnie do jakiegoś pokoju, w którym znajdowało się pełno lamp, bufetów i przyrząd służący do nagrzewania serwet po kąpieli; dalej widać było korytarz ciemny i schodki ukryte. Stłumiony śmiech, który posłyszał w przedpokoju, zbił go do reszty z tropu.

– Proszę pana, tędy się idzie do salonu – rzekł kamerdyner z ową fałszywą uniżonością, która zdaje się być tylko nową obelgą.

Eugeniusz zawrócił się z takim pośpiechem, że zawadził o wannę; szczęściem jednak zdążył zatrzymać wymykający się z rąk kapelusz. W tej samej chwili drzwi jakieś otworzyły się w głębi korytarza oświetlonego małą lampką i Eugeniusz posłyszał głos hrabiny i ojca Goriot, po czym rozległ się odgłos pocałunku. Kamerdyner przeprowadził Eugeniusza przez pokój jadalny do pierwszego salonu, gdzie student nasz przystanął przed oknem wychodzącym na podwórze. Pragnął przekonać się, czy spotkany tu ojciec Goriot był rzeczywiście owym znanym mu Goriotem. Serce biło mu jakoś dziwnie, gdy przywodził sobie na pamięć przerażające uwagi Vautrina. Kamerdyner zatrzymał się przy drzwiach salonu, z którego wyszedł nagle elegancki młodzieniec.

– Już ja idę, Maurycy – rzekł niecierpliwie. – Proszę powiedzieć hrabinie, że przeszło pół godziny czekałem na nią.

Po tych słowach młodzieniec, który widocznie miał prawo być niegrzeczny, zanucił jakąś śpiewkę włoską i zbliżył się do okna, przy którym stał Eugeniusz. Udał, że wygląda na dziedziniec, a tymczasem rzucił na twarz studenta przelotne spojrzenie.

– Lepiej byłoby, gdyby pan hrabia zechciał zaczekać chwileczkę, bo jaśnie pani już nie jest zajęta – rzekł Maurycy zmierzając do przedpokoju.

W tej chwili ojciec Goriot zszedł z małych schodków i zatrzymał się przy bramie rozpinając parasol. Nieborak nie widział, że w otwartej bramie pokazało się właśnie tilbury, w którym siedział młody mężczyzna z orderem na piersi. Ojciec Goriot w samą porę rzucił się w tył, żeby nie być stratowanym. Koń przestraszył się rozpiętego parasola i, rzuciwszy się w bok, popędził gwałtownie ku podjazdowi. Młody człowiek obrócił się z gniewem, popatrzył na Goriota i ukłonił mu się wreszcie z przymusowym uszanowaniem, z jakim traktujemy potrzebnego nam lichwiarza lub człowieka spodłonego, dla którego musimy udawać szacunek, choć wewnętrznie rumienimy się za to sami przed sobą. Ojciec Goriot odpowiedział przy jacielskim ukłonem pełnym dobroduszości. Wszystko to stało się z szybkością błyskawicy i pochłonęło całą uwagę Eugeniusza. Nie przypuszczał nawet, że oprócz niego ktoś inny jeszcze może się znajdować w salonie, gdy wtem głos hrabiny uderzył jego ucho.

– Ach, Maksymie, jużś chciał odchodzić! – zawołała tonem wyrzutu, w którym przebijało się lekkie rozdrażnienie.

Hrabina nie zwróciła uwagi, że tilbury zajęchało przed dom. Rastignac odwrócił się nagle i ujrzał hrabinę przystrojoną zalotnie w peniuar biały, kaszmirowy, z różowymi kokardami i uczesaną niedbale, tak jak wszystkie paryżanki w godzinach porannych. Musiała wyjść świeżo z kąpieli, bo przejęta była całą jakimś balsamicznym zapachem, spojrzenie miała jakby zamglone, a piękność jej zmiękczone, jeżeli tak rzecz można, zdawała się rozkoszniejsza niż zwykle. Oko młodych ludzi umie wszystkiego się dopatrzeć: dusza ich zlewa się z promiennym obrazem kobiety, tak jak roślina napawa się powietrzem, z którego przyswajają sobie część potrzebną; toteż i Eugeniusz nie dotknął się rąk hrabiny, a jednak przeczuł świeżość ich niezrównaną, odgadł przez kaszmir różową białość jej gorsu, którą zdradzał niekiedy przed jego wzrokiem peniuar trochę rozwarty. Hrabina nie potrzebowała gorsetu; przepaska tylko odznaczała gibką jej kibić, szyję miała nęcącą, a nogi jakże ślicznie wyglądały w pantofelkach! Maksym złożył na jej ręce pocałunek i wtedy dopiero Eugeniusz spostrzegł Maksyma, a hrabina Eugeniusza.

– Ach, to pan de Rastignac! Jakże mi przyjemnie widzieć pana – rzekła hrabina takim tonem, że człowiek dobrze wychowany pojąłby od razu właściwe słów tych znaczenie.

Maksym spoglądał kolejno na Eugeniusza i na hrabinę tak wyraziście, jak gdyby chciał przekonać intruza, że jest najzupełniej niepotrzebny. – Ach, moja droga, spodziewam się, że wypchniesz mi tego malca za drzwi! – Słowa te malowały się w wyzywająco dumnym wzroku młodzieńca, którego hrabina Anastazja nazwała Maksymem, patrząc mu w twarz z tym wyrazem podległości, którym kobieta zdradza bezwiednie wszystkie swe tajemnice. Rastignac uczuł ku niemu nienawiść gwałtowną. Najpierw piękne włosy Maksyma, jasne i starannie ufryzowane, dały mu poznać, że jego głowa wyglądała szkaradnie. Dalej obuwie hrabiego było delikatne i czyste, a buty studenta, pomimo największej ostrożności, pokryły się w drodze cieniuchną warstwą błota. Wreszcie tamten miał surdut, który układał mu się do stanu tak wdzięcznie, że czynił go podobnym do pięknej kobiety, a Eugeniusz o wpół do trzeciej miał na sobie czarne odzienie. Przenikliwy syn Charenty pojawił od razu, jak wielką przewagę miał nad nim ten wykwintnie, starannie ubrany, szczupły i wysoki, o jasnym oku i cerze bladej. Nie czekając odpowiedzi Eugeniusza, hrabina wybiegła szybko do drugiego salonu, a peniuar rozwiany fruwał dokoła czyniąc ją podobną do motyla; Maksym poszedł za nią. Eugeniusz, zły szalenie, poszedł za Maksymem i hrabiną. Wszyscy troje znaleźli się razem na środku wielkiego salonu przed kominkiem. Student wiedział dobrze, że będzie krępować swą obecnością tego wstrętnego Maksyma, a pragnął bądź co bądź dokuczyć elegantowi, choćby nawet przyszło się narazić w oczach hrabiny. Nagle przypomniał sobie, że widział tegoż Maksyma na balu u pani de Beauséant, i odgadł, czym on był dla pani de Restaud; ale zdobył się na odwagę młodzieńczą, która bywa źródłem głupstw wielkich lub wielkich powodzeń i rzekł do siebie: „Oto mój rywal, muszę go pokonać.” Niebaczny! Nie wiedział, że hrabia Maksym de Trailles pozwalał się znieważać, po czym strzelał pierwszy i zabijał przeciwnika. Eugeniusz słyszał jako dobry strzelec, ale na dwadzieścia dwa strzały, nigdy jeszcze nie zdarzyło mu się trafić dwadzieścia razy. Młody hrabia rzucił się na fotel w rogu kominka, wziął szczypce i zaczął rozrzucać węgle tak gwałtownie i niecierpliwie, że piękna twarz Anastazji zasępiła się od razu. Młoda kobieta rzuciła na Eugeniusza spojrzenie zimne i pytające, które mówi tak wyraźnie: czemu sobie nie idziesz? że ludzie dobrze wychowani od razu pojmują znaczenie takiego zapytania, które można by nazwać zapytaniem pożegnalnym.

Eugeniusz rzekł, jak mógł najmiej:

– Pani, spieszno mi było odwiedzić panią, żeby...

I urwał.

Drzwi się otworzyły, a na progu pokazał się niespodzianie jegomość, który przyjechał w tilbury. Nie miał kapelusza i nie powitał hrabiny, tylko spojrzawszy badawczo na Eugeniusza, wyciągnął rękę do Maksyma: „Dzień dobry” – rzekł do niego z braterską poufałością, która zdziwiła wielce Eugeniusza. Młodzieńcy z prowincji nie rozumieją słodyczy życia we troje.

– Pan de Restaud – rzekła hrabina, wskazując studentowi swego męża.

Eugeniusz złożył ukłon głęboki.

– To jest pan de Rastignac – mówiła dalej, przedstawiając Eugeniusza hrabiemu de Restaud – spokrewniony przez Marcillaców z wicehrabiną de Beauséant. Miałam przyjemność poznać pana na ostatnim balu u wicehrabiny.

**Spokrewniony przez Marcillaców z wicehrabiną de Beauséant!** Hrabina wymówiła te słowa prawie przesadnie, z pewnym rodzajem dumy, której doznaje pani domu mogąca dowieść, że przyjmuje u siebie tylko ludzi dystyngowanych.

Pod czarodziejskim wpływem słów powyższych hrabia ożywił się i porzucił swój sposób obejścia się oziębły i ceremonialny.

– Jakżem rad poznać pana – rzekł kłaniając się studentowi.

Nawet hrabia Maksym de Trailles porzucił naraz ton wyzywająco-zuchwały i zmierzył studenta wzrokiem niespokojnym. Jedno nazwisko, potężne jak skinienie laski czarodziejskiej, otworzyło naraz owe trzydzieści skrytek w mózgu południowca i powróciło mu cały zapas przygotowanego dowcipu. Niespodziewane światło rozjaśniło przed nim ciemną dotychczas atmosferę wyższego towarzystwa paryskiego. Gospoda Vauquer z ojcem Goriot była w tej chwili daleko od jego myśli.

– A ja sądziłem, że ród Marcillaców wygaś – rzekł hrabia de Restaud do Eugeniusza.

– Tak jest, panie hrabio – odparł student. – Mój dziad stryjeczny, kawaler de Rastignac, ożenił się z dziedziczką rodziny Marcillaców i miał jedną tylko córkę, która wyszła za marszałka de Clarimbault, rodzzonego dziada pani de Beauséant. My stanowimy linię młodszą, tym biedniejszą, że dziad mój stryjeczny, wiceadmirał, postradał całe mienie służąc królowi. Rząd rewolucyjny nie chciał uwzględnić naszych wierzytelności przy likwidacji kompanii indyjskiej.

– Czy czasami pański dziad stryjeczny nie dowodził „Vengeurem” przed rokiem 1789?

– Tak jest właśnie.

– W takim razie musiał znać mego dziada, który dowodził „Warwickiem”.

Maksym wzruszył ramionami i spojrzął na panią de Restaud, jak gdyby chciał powiedzieć: „Zginęliśmy, bo oni myślą rozprawiać o marynarce. Anastazja pojęła spojrzenie pana de Trailles i uśmiechnąwszy się z niepojętą potęgą, właściwą kobietom, zawołała:

– Panie Maksymie, proszę ze mną, mam pana o coś poprosić. – Wam zaś, panowie, pozwalamy płynąć w jedne drogę na Warwicku i Vengeurze. – Po czym wstała i skinąwszy niby zdradziecko na Maksyma, skierowała się ku buduarowi. Zaledwie ta para morganatyczna (piękny wyraz niemiecki, który nie ma odpowiedniego we francuskim języku) zbliżyła się do drzwi, gdy hrabia przerwał rozmowę z Eugeniuszem.

– Anastazjo, zostań, proszę cię, moja droga – zawołał z niechęcią – wiesz przecie, że...

– Natychmiast, natychmiast powracam – przerwała hrabina – mam tylko poprosić o coś Maksyma.

I w istocie powróciła zaraz. Wszystkie kobiety, które stosują się do charakteru męża, żeby tym bezpieczniej dogadzać swym zachciankom, wiedzą, jak daleko zająć można, nie narażając się na utratę nieocenionego zaufania, i starają się ustępować zawsze, gdy chodzi o jaką drobnostkę. Hrabina poznała też po głosie hrabiego, że niebezpiecznie byłoby zatrzymywać się długo w buduarze. Główną przyczyną nieprzyjemności był student, toteż pani ukazała nań pogardliwym ruchem Maksymowi, który zwracając się do wszystkich trojga, rzekł bardzo epigramatycznie:

– Wiecie co, państwo? Widzę, żeście bardzo zajęci, nie będę więc przeszkadzał. Do zobaczenia.

– I wyszedł.

– Zostań, panie Maksymie! – zawołał książę.

– Przyjdź pan na obiad – rzekła hrabina, idąc znów za Maksymem do pierwszego salonu, gdzie zatrzymali się oboje sądząc, że pan de Restaud pożegna tymczasem Eugeniusza.

Rastignac słyszał, jak raz wraz śmieli się, rozmawiali i znów oczekiwali w milczeniu; ale student złośliwy wyczerpywał cały dowcip, pochlebiał hrabiemu i wciągał go w dysputy, byle tylko doczekać powrotu hrabiny i zbadać, jakiego rodzaju były jej stosunki z Goriotem. Ta kobieta, zakochana w Maksymie, przewodząca nad mężem i złączona tajemnie ze starym fabrykantem makaronu, była dlań zagadką wielką. Chciał koniecznie przeniknąć tajemnicę, za pomocą której spodziewał się zapanować nad tą prawdziwą paryżanką.

– Anastazjo! – zawołał znów hrabia na żonę.

– Cóż robić, biedny mój Maksymie, trzeba zrezygnować – rzekła hrabina do młodego człowieka. – Do wieczora...

– Spodziewam się, Naściu – szepnął jej Maksym do ucha – że nadal nie będziesz przyjmować tego młodzieńca, którego oczy rozżarzały się jak węgle, gdy się twój peniuar cokolwiek rozchyłał. On nie zaniedbałby oświadczyć się tobie, przez co mógłby cię narazić, a ja byłbym zmuszony go zabić.

– Czyś ty rozum stracił, Maksymie? – odparła. – Ci mali studenci są przeciwnie doskonałymi konduktorami, które strzegą nas od piorunów. Już ja nie zaniedbam podburzyć Restauda przeciw niemu.

Maksym rozśmiał się i wyszedł wraz z hrabiną, która stanęła przy oknie, chcąc widzieć go jeszcze, gdy będzie wsiadał i kłaśnie z bata, by pobudzić konia do szybkiego biegu. Odeszła od okna wtedy dopiero, gdy zobaczyła, że się za nim brama zamknęła.

– Co powiesz na to, moja droga – zawołał hrabia, gdy weszła do pokoju – wszak majątek, w którym mieszka rodzina pana de Rastignac, leży niedaleko od Verteuil nad Charente. Dziad stryjeczny pana de Rastignac znał osobiście mego dziada.

– Jestem zachwycona prawdziwie, żeśmy tak blisko znajomi – rzekła hrabina z roztargnieniem.

– Bliżej niż pani sądzi – odparł Eugeniusz z cicha.

– Jak to? – zapytała żywo.

– Widziałem właśnie – odrzekł student – jak od pani wychodził ojciec Goriot, najbliższy mój sąsiad, z którym mieszkam w jednym domu.

Słyszając to nazwisko poprzedzone wyrazem ojciec, hrabia przestał rozgrzebywać węgle na kominku i rzucił szczypce w ogień z taką gwałtownością, jak gdyby poparzył sobie palce.

– Można było nazwać go panem Goriot – zawołał powstając.

Hrabina zbladła widząc niecierpliwość męża, potem zarumieniła się, nie mogąc ukryć pomieszania i rzekła niby niedbale, starając się nadać głosowi zwykłe brzmienie:

– To pewna, że nie ma na świecie drugiego człowieka, który by zasługiwał więcej na nasze przywiązanie...

Nie domówiła i spojrzała na fortepian, jak gdyby nagle zachcianka jakaś przysła jej do głowy.

– Czy pan lubi muzykę? – spytała.

– Bardzo – odparł Eugeniusz czerwieniąc się i mieszając na myśl, że musiał popełnić potężne jakieś głupstwo.

– Czy pan śpiewa? – zapytała siadając do fortepianu i przebiegając gwałtownie po wszystkich klawiszach od basowego **c** aż do najwyższego **f**. Rrrrah!

– Nie, pani.

Hrabia de Restaud przechadzał się wzdłuż i wszerz pokoju.

– To szkoda, pozbawiłeś się pan znakomitego środka powodzenia.

**Ca-a-ro, ca-a-a-ro, ca-a-a-a-ro non du-bi-ta-re**, zaśpiewała hrabina.

Nazwisko ojca Goriot było znów niby skinieniem różdżki czarnoksiężkiej, tylko skutek był wręcz przeciwny temu, jaki sprawiły słowa: krewny pani de Beauséant. Eugeniusz znajdował się w położeniu człowieka, którego amator osobliwości zaprosił łaskawie do swego mieszkania, a on, niebacznym, potrącił szafę z figurami rzeźbionymi i rzucił trzy czy cztery główki niedobrze umocowane. Biedak rzuciłby się chętnie w przepaść. Twarz pani de Restaud przybrała wyraz chłodny i surowy, a oczy obojętne unikały wzroku nieszczęśliwego studenta.

– Pani życzy zapewne pomówić z panem de Restaud – wyrzekł – proszę przyjąć zapewnienie najgłębszego szacunku i pozwolić mi...

– Ilekroć tylko zechcesz pan przyjść – rzekła hrabina pośpiesznie, zatrzymując Eugeniusza skinieniem – bądź pan pewien, że zrobisz największą przyjemność i mnie i hrabiemu de Restaud.

Eugeniusz złożył głęboki ukłon przed obojgiem i wyszedł w towarzystwie pana de Restaud, który nie zważając na prośby studenta przeprowadził go aż do przedpokoju.

– Ile razy ten pan przyjdzie – rzekł hrabia do Maurycego – ani pani hrabina, ani ja nie będziemy w domu.

Wyszedłszy za drzwi, Eugeniusz spostrzegł dopiero, że deszcz pada. – Masz tobie, powiedział, przyszedłem po to, by popełnić niezręczność, której nie pojmuję przyczyny ani doniosłości, a do tego zniszczę sobie odzienie i kapelusz. Lepiej było siedzieć w kącie i ślęczeć nad prawem, myśląc o tym tylko, żeby zostać kiedyś surowym prawnikiem. Czyż ja mogę bywać w świecie, skoro, chcąc się w nim obracać swobodnie, potrzeba całej góry powozów, butów lakierowanych, drobnostek nieodzownie potrzebnych, łańcuchów złotych, zamszowych rękawiczek po sześć franków na rano, a na wieczór innych i to koniecznie żółtego koloru! Ten Goriot to stary kiep, ot co!

Miał już wyjść na ulicę, gdy spostrzegł karetę najemną, którą zapewne odjechali jacyś młodzi małżonkowie. Woźnica pragnął widocznie zrobić kilka przemycających kursów na własną korzyść, bo skinął na Eugeniusza, który stał bez parasola w czarnym odzieniu, białej kamizelce, złotych

rękawiczkach i butach błyszczących. Eugeniusza opanował ów szal głuchy, popychający młodzież w głąb przepaści, do której się zbliżyli, z taką szybkością, jak gdyby na dnie była nadzieja szczęśliwego wyjścia. Skinął więc głową na znak zgody i wszedł do powozu, w którym leżały jeszcze szczątki pomarańczowych kwiatów i parę strzępków srebrzystej tkaniny, świadcząc o przejeździe młodej pary.

– Dokąd pan jedzie? – zapytał woźnica, który zdjął już białe rękawiczki.

– Ha! – zawołał w duchu Eugeniusz – kiedyś się już raz puścił tą drogą niechże przynajmniej wiem, dlaczego! Jedź do pałacu Beauséant – rzekł głośno.

– Do którego? – zapytał woźnica.

To potężne słowo zmieszało Eugeniusza. Świeżo upieczony wykwintniś nie wiedział, że były dwa pałace Beauséant, nie przeczuwał, że miał potężny zastęp krewnych, nie dbających wcale o niego.

– Do wicehrabiego de Beauséant, ulica...

– De Grenelle – przerwał woźnica, kiwając głową. Bo to widzi pan, jest jeszcze pałac hrabiego i markiza de Beauséant na ulicy Saint-Dominique – dodał podnosząc stopień od powozu.

– Wiem o tym – odparł Eugeniusz sucho. – Dziś wszyscy chyba kpią ze mnie! – zawołał rzucając kapelusz na przednie siedzenie. – Jeszcze za to błazeństwo będę musiał po królewsku zapłacić. Ale za to odwiedzę moją mniemaną kuzynkę w sposób prawdziwie arystokratyczny. Ten stary łotr Goriot kosztuje mnie już przynajmniej dziesięć franków. Daję słowo, opowiem mą przygodę pani de Beauséant, może to ją rozśmieszy. Ona zna pewnie tajemnicę występnych stosunków między tym szcurem bez ogona, a ową piękną hrabiną. Wolę przypodobać się kuzynce, niż otrzeć się o tę kobietę niemoralną, która, o ile mi się zdaje, musi być bardzo kosztowna. Jeżeli samo imię pięknej wicehrabiny jest tak potężne, jakież to dopiero wpływ musi wywierać jej osoba? Spróbujmy sięgnąć jak można najwyżej. Trzeba brać samego Boga za cel, jeżeli chcemy zdobyć coś w niebie.

Te słowa są krótką formułą tysiąca i jednej myśli, które się snuły po głowie studenta. Odzyskał nieco spokoju i pewności siebie, widząc, że deszcz nie przestaje padać. Powiedział sobie, że straci wprawdzie dwie drogocenne monety stusoldowe, ale za to uchroni od zniszczenia odzienie, kapelusz i buty. Nie bez radości posłyszał wreszcie głos woźnicy, który zawołał:

– Proszę otworzyć bramę!

Szwajcar w czerwonej wygalonowanej liberii otworzył bramę pałacu, a Eugeniusz patrzył z błogim zadowoleniem, jak karetą jego okrążyła dziedziniec i zatrzymała się u podjazdu. Woźnica w grubym płaszczu niebieskim z czerwonym obszyciem przyszedł spuścić stopień karety. Wysiadając Eugeniusz posłyszał w przedsionku śmiech tłumiony. Trzech czy czterech lokai wyśmiewało się już z powozu, który najmowano na wszystkie biedniejsze śluby. Student pojął ten śmiech w chwili, gdy porównał swą karetę z innym powozem stojącym nieco dalej.

Był to jeden z najwykwintniejszych powozów paryskich, zaprzężony parą gorących rumaków, z których każdy miał róże za uszami i gryzł niecierpliwie wędzidło. Woźnica upudrowany i wystrojony trzymał je silnie, jak gdyby lada chwila gotowe były zerwać się do biegu. Na Chaussée d'Antin, przed domem pani de Restaud, Eugeniusz oglądał wykwintny kabriolecik dwudziestosześcioletniego młodzieńca, tutaj na przedmieściu Saint-Germain miał go olśnić zbytek magnata, którego powóz musiał kosztować przeszło trzydzieści sześć tysięcy franków.

– Któż tam jest znowu? – rzekł Eugeniusz do siebie – pojmując trochę za późno, że w Paryżu musi być mało kobiet niezajętych i że za cenę krwi nawet niełatwo zdobyć sobie jedną z tych królowych.

– Do licha! kuzynka musi mieć także swego Maksyma!

Wszedł na ganek ze śmiertelną trwogą w duszy. Drzwi oszklone otwarły się przed nim, a lokaje przyjęli go z poważną miną osła, którego chęszą zgrzebłem. Ów bal, na którym był Eugeniusz, odbywał się w wielkich parterowych salonach pałacu Beauséant. Rastignac nie miał czasu złożyć wizyty między zaprosinami i balem, nigdy więc jeszcze nie był w apartamentach pani de Beauséant i miał po raz pierwszy oglądać cuda tej elegancji osobistej, w której przebija się dusza i obyczaje

kobiety wyższego świata. Było to studium tym ciekawsze, że salon pani de Restaud mógł służyć do porównania.

Wicehrabina przyjmowała od pół do piątej; gdyby więc Eugeniusz przybył o pięć minut wcześniej, to nie mógłby oglądać kuzynki. Poprowadzono go przez schody o złoconej poręczy, pełne kwiatów i wysłane dywanem pąsowym. Student, co nie miał pojęcia o rozlicznych subtelnościach etykiety paryskiej, nie znał również biografii pana de Beauséant, a była to jedna z owych zmiennych historii, które co wieczór opowiada się na ucho w salonach paryskich.

Od trzech lat wicehrabina utrzymywała ściśle stosunki z margrabią d'Adjuda-Pinto, jednym z najznakomitszych i najbogatszych magnatów portugalskich. Był to jeden z tych związków niewinnych, który ma tyle uroku dla ludzi, że nie chcą dzielić się swym szczęściem z trzecią osobą. Wicehrabia de Beauséant dał dobry przykład publiczności, szanując, może wbrew swej woli, ów związek morganatyczny. W początku istnienia tej przyjaźni, wszyscy znajomi, zgromadzający się o drugiej po południu w salonie wicehrabiny, zaczęły spotykać u niej codziennie markiza d'Adjuda-Pinto. Nie mogąc zamknąć drzwi swego domu, gdyż byłoby to bardzo nieprzyzwoicie, pani de Beauséant przyjmowała odwiedzających tak oziębło i wpatrywała się tak uporczywie w gzyms u sufitu, że wreszcie pojęli, iż są natrętnymi gośćmi. Wkrótce rozpowiadano sobie w Paryżu, że wizyty między drugą a czwartą po południu krępują panią de Beauséant i od tej pory pozostawiono ją w najzupełniejszej samotności. Bywała wprawdzie na komedii lub na operze w towarzystwie pana de Beauséant i pana d'Adjuda-Pinto, ale pan de Beauséant umiał żyć na świecie, towarzyszył więc żonie aż na miejsce, a później usuwał się, zostawiając ją z Portugalczykiem. Pan d'Adjuda miał się żenić z panną de Rochefide. W całym wyższym świecie jedna tylko osoba nie wiedziała nic o małżeństwie zamierzonym, a osobą tą była pani de Beauséant. Przyjaciółki wprawdzie nie zaniedbały nadmienić coś o tym, lecz ona się śmiała, sądząc, że ludzie zazdroszczą jej szczęścia i dlatego chcieliby je zatruć. Tymczasem nadchodził czas zapowiedzi. Piękny Portugalczyk przyszedł oznajmić wicehrabinie o swym małżeństwie, ale siedział długo nie odważając się ani słówka powiedzieć w tym przedmiocie. Dlaczego? Bo chyba nie ma nic trudniejszego, jak oznajmić kobiecie podobne ultimatum. Są ludzie, co woleliby stanąć wobec przeciwnika godzącego w nich ostrzem szpady, niż znajdować się przy kobiecie, która wywodzi elegie przez dwie godziny, a potem woła o ratunek i pada jak nieżywa. Otóż i pan d'Adjuda-Pinto siedział jak na węglach rozżarzonych i chciał już wychodzić tłumacząc sobie, że pani Beauséant dowie się tej nowiny bez niego, że wreszcie on sam napisze do niej, gdyż na piśmie łatwiej będzie popełnić to grzeczne morderstwo. Toteż markiz drgnął z radości, gdy kamerdyner hrabiny przyszedł oznajmić przybycie pana Eugeniusza de Rastignac. Trzeba wam wiedzieć, że kobieta kochana więcej jeszcze ma daru do tworzenia przypuszczeń podejrzliwych, niż do wymyślania coraz to nowych przyjemności. Gdy ma być opuszczona, to zgaduje myśl ukrytą w najłżejszym skinieniu. Pojmiecie więc, że przed okiem pani de Beauséant nie ukryło się owo drgnienie mimowolnie, lecz niemniej przerażające. Eugeniusz nie wiedział, że w Paryżu, chcąc bywać u kogoś, trzeba wpięć poprosić przyjaciół domu, by opowiedzieli historię męża, żony lub dzieci, w przeciwnym bowiem razie można popełnić jedno z tych głupstw, do których zastosowano w Polsce malownicze przysłowie: „Zaprzęgajcie woły do woza!” po to zapewne, by czym prędzej wycofać się z nieprzyjemnego położenia. We Francji taki niefortunny zwrot rozmowy nie ma jeszcze nazwy właściwej, trudno nawet przypuścić, żeby się mógł zdarzyć wobec niezmiernie rozpowszechnionej obmowy. Eugeniusz uwikłał się już w jedno głupstwo u pani Restaud, która nie pozwoliła mu nawet zaprząć wołów do woza, a tu u pani de Beauséant mógł rozpocząć na nowo zawód poganiacza. Zdarzyło się jednak, że student, który krępował tak Nielitościwie panią de Restaud i pana de Trailles, wybawił pana d'Adjuda z wielkiego kłopotu.

– Żegnam panią – rzekł Portugalczyk idąc pośpiesznie ku drzwiom w chwili, gdy Eugeniusz wchodził do saloniku przystrojonego materią szarą i różową tak zalotnie, że zbytek ukrywał się pod osłoną wdzięku.

– Ale do wieczora tylko – rzekła hrabina zwracając głowę ku margrabiemu. – Przecie idziemy dziś na komedię?

– Nie mogę – odparł margrabia biorąc za klamkę.

Pani de Beauséant wstała i przywołała go ku sobie, nie zwracając wcale uwagi na Eugeniusza, który stał olśniony czarodziejskim blaskiem bogactwa, gotów uwierzyć w tej chwili w rzeczywistość bajek arabskich, i nie wiedział, gdzie się ukryć przed kobietą, która nie zwracała nań najmniejszej uwagi. Wicehrabina podniosła wskazujący palec prawej ręki i ruchem pełnym wdzięku wskazała markizowi miejsce obok siebie. W ruchu tym był tak gwałtowny despotyzm namiętności, że margrabia zdjął rękę z klamki i powrócił. Eugeniusz spojrział nań bez zazdrości.

– Oto jest – rzekł w duchu – właściciel powozu. Trzebaż mieć konie rącze, liberie i strugi złota, żeby zasłużyć na jedno spojrzenie kobiety paryskiej?

Demon zbytku wpił mu się w serce, gorączka zysku opanowała go paląc wnętrzością pragnieniem złota. A pamiętał, że ma tylko sto trzydzieści franków na kwartał. Jego ojciec, matka, bracia, siostry i ciotka przeżywają wszyscy razem niespełna dwieście franków na miesiąc. Osłupiał do reszty porównywając położenie obecne z celem, który należało osiągnąć.

## **Конец ознакомительного фрагмента.**

Текст предоставлен ООО «Литрес».

Прочитайте эту книгу целиком, [купив полную легальную версию](#) на Литрес.

Безопасно оплатить книгу можно банковской картой Visa, MasterCard, Maestro, со счета мобильного телефона, с платежного терминала, в салоне МТС или Связной, через PayPal, WebMoney, Яндекс.Деньги, QIWI Кошелек, бонусными картами или другим удобным Вам способом.